

Gdzieindziej.

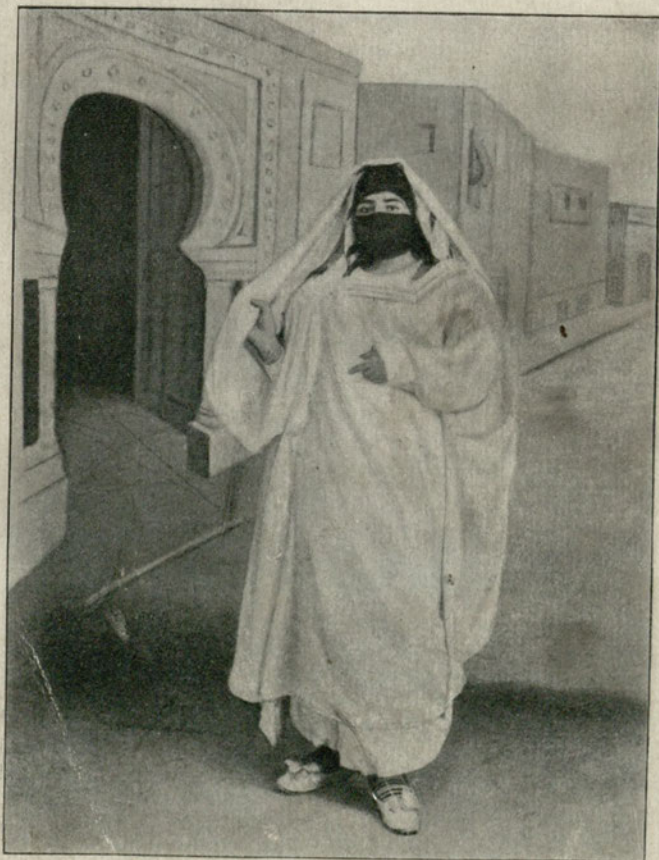
1454
15+6

ALGERYA. _____

MAROKKO. _____

TUNETANIA. _____

HISZPANIA. _____



SPISAŁ W PODRÓŻY
STANISŁAW STARŻA.



GDZIEINDZIEJ.

GDZIEINDZIEJ.

Algerya. ==

Marokko. ==

Tunetania. ==

Hiszpania. ==



SPISAŁ W PODRÓŻY

STANISŁAW STARŻA.



WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE i S-ka.

1905.

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5167315

*pisany podr.
1905.
Marokko
Tunetania*

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Сентября 1904 года.



39959

Drukarnia Rubieszewskiego i Wrotnowskiego w Warszawie.

NH-67298
PAN bibl. k. 203/20

PRZEDMOWA.

Pojęcie „dzikości“ tak się w naszych umysłach zrosło z pojęciem Afryki, że trudno sobie wyobrazić cywilizację na jej północno-zachodnich wybrzeżach, szczególnie gdy wiemy, że przed 75-ciu jeszcze laty brzegi te były jaskinią piratów, a wody pruły liczne ich fregaty i zbójckie galery.

A jednak blisko przed dwoma tysiącami lat rzymskie budowle i amfiteatry, rzymskie drogi i cała rzymska cywilizacja i kultura rozwijały się tu i kwitły nie gorzej niż na europejskich wybrzeżach; trzeba było dopiero fanatycznej nawały arabów, by wszystko to zniszczyć, by się stało zadość prawdziwym prawom natury, by ziemię tę pozbawić cywilizacji, która uciekała ku północy.

Tysiąc dwieście lat panowania arabów to ciężki okres w rozwoju Afryki północno-zachodniej, to okres jej upadku nieomal zupełnego; tem ciekawszą staje się chwila obecna, gdy podmuch cywilizacji znów tam wieje i sprowadza szybkie zmiany.

Krainy Atlasu od Tunetanii aż do Marokka etnograficznie, kulturalnie, a nawet politycznie stanowią jedną całość, niby wyspę, otoczoną od północy morzem Śródziemnym, a od południa Saharą. Chociaż dzisiaj stanowią 3 różne terytoria,

niemniej trzeba ze wszystkimi trzema osobistą zabrać znajomość, by sobie wyrobić sąd pewny i sprawiedliwy.

Algerya—to terażniejszość i przyszłość pod ręką francuzów; Marokko—to przeszłość wielowiekowa, to dowód jak było niegdyś na całym obszarze tych krajów, to niejako w stanie skamieniałości zachowane panowanie arabskie; Tunetania wreszcie, zaledwie 20 lat pod protektoratem francuskim pozostająca, pokaże nam tę kuźnię, w której przerabia się kraj dziki, jak Marokko, na wysoko cywilizowany, jakim jest Algerya, pokaże nam te narzędzia i sposoby, jakimi zamierzony cel osiągnąć się daje.

Z krajem zapoznawałem się zaczynając od Algeryi a kończąc na Tunetanii, w tym też porządku ułożyłem w tej książce moje listy pisane na miejscu, pod wrażeniem chwili, by nie plątać wątku myśli, jaki się w miarę zwiedzania kraju rozsnawał.

Będąc w Tangerze, zawadziłem nieco o Hiszpanię, ma ona jednak tyle historycznej łączności z arabami i afrykańskim ich krajem, że parę listów jej poświęconych całość tylko dopełni.

Wielce interesującym jest w krajach Atlasu zetknięcie się kwitnącej cywilizacji z nawpół dzikim ludem, co tworzy rzadki kontrast, nadający szczególnie Algeryi i Tunetanii swoisty charakter. Jednakże arab tylko korzysta z cywilizacji współczesnej, jest tylko widzem nie aktorem; skrępowany ramami koranu, czy też wyjąłowiony przez wieki w objęciach Islamu, nie jest już zdolny stanąć do pracy kulturalnej obok francuzów; od czasu złamania potęgi korsarstwa, przez ubiegłe 72 lata, zdołał zupełnie poddać się pod wpływ fali cywilizacyjnej, idącej od północy, nie próbując już z nią walczyć, ustępując przybyszom dobrowolnie na każdym kroku. Dzisiaj j

z fatalistyczną biernością i apatyą właściwą wyznawcom proroka poddaje się losowi, czekając co z tego wyniknie.

Tysiąc dwuchsetletnie panowanie arabów się skończyło, dokonawszy przeznaczeń wielkich lecz smutnych a niezbadanych, dokonawszy zupełnej zagłady starej cywilizacyi rzymskiej; przez te 1200 lat uciekała ona ku północy, otulała swoim płaszczem Europę, pożłociła nawet krańce Norwegii, i zaczyna bić „odwrotną falą“ ku południowi z siłą żywiołową.

To podmywanie zdziczałych brzegów Afryki przez odwrotną falę cywilizacyi szczególniej mię zaciekawiało, co może nada moim listom specjalne zabarwienie, które proszę mi łaskawie wybaczyć.

Autor.

I.

Marsylia. — Podróż morską. — Wybrzeże Afryki.

Pośród portów Europy Marsylia w pierwszym rzędzie policzoną być winna, a na morzu Śródziemnym stanowczo najpierwsze miejsce zajmuje.

Północny Hamburg lub Brema przygniatają swoim bogactwem i mnogością okrętów, swojemi obrotami handlowymi, wreszcie swoją rozległością,—morza jednakże samego tam wcale nie widać, porty te bowiem mieszczą się właściwie w ujściach rzek, rozlanych po równinie. By wyrobić sobie pojęcie o wielkości Hamburgskiego portu trzeba odbyć objazd statkiem, przenosząc się po kolei z jednego zakątka w drugi i po szczególe przeglądać wielkie składy i magazyny, olbrzymie maszyny ładujące towary, wreszcie potężne kadłuby statków transatlantyckich, wystawiających swe boki na kilka piątr w górę.

W Marsylii inaczej. Wprawdzie i tu port jest olbrzymi, podzielony na mnóstwo oddziałów, wszystko to jednak obejmuje wspólna tama od morza odgradzająca, bo wszystkie porty, duże i małe, niby oddzielne komórki mieszczą się w morzu otwartem, dając się objąć jednym rzutem oka z górnej części miasta i skał nadbrzeżnych.

Miasto samo, jedno z piękniejszych, rozsiadło się amfiteatralnie wokoło zatoki, jak gdyby chcąc nieustannie lubować się widokiem mrowia ludzkiego w porcie się uwijającego. Nadzwyczaj rozgałęzione i pnące się wysoko po wybrzeżach i wyżynach tramwaje rozwijają przed oczyma coraz inne panoramy. Na południu wzrok gubi się w morskich bezmiarach, tuż pod nogami obserwuje życie portowe, a u brzegu poważne ruchy statków powolnie się poruszających.

Niezależnie jednak od morskiego swego charakteru prowansalski port Francji, to już przedsiónek Południa. To też ojcowie miasta o tem nie zapomnieli. Wszystkie szersze ulice ubrano niebotycznymi platanami, by przechodnia skwar letni niedoszedł, a tuż za miastem, nad morzem, rozciąga się inne morze zieleni, wspaniały a dziki park Prado, przecięty prostolinijnymi alejami dla ruchu kołowego, a kończący się na brzegu plażą i morskimi kąpielami.

Dzień 2-go lutego 1902 r. był dżdżysty i zimny, a był to przeddzień mojego wyjazdu na morze. Z niekłamanym też niepokojem śledziłem grę fali i kierunek wiatru, obawiając się burzy, tem więcej, że właśnie nadchodziły depezy o katastrofach na kanale La Manche. Niemyliłem się, burza nadeszła, tylko dostatecznie wcześnie, bo w nocy, darząc nas nazajutrz pewnością, że zaraz drugiej nie będzie.

Dnia 3-go lutego „Duc de Bragance“, jeden z tak zwanych „kuryerów“ Towarzystwa Transatlantyckiego, w południe przyjął nas na pokład, by wylądować aż hen na południu, na czarnym lądzie, w Afryce, mającej mnie nareszcie ogrzać po europejskiej zimie.

Morze od nocy było mocno wzburzone, a fale nie żartem statkiem miotały, rzucając dziobem na kilka piątr w górę.

Chciałem brawować i oprzeć się morskiej chorobie. Zastosowałem wszystkie znane mi środki: wypościłem się dobrze, ścisnąłem jeszcze lepiej, nawet koniak do pomocy wezwałem, a pomimo to miałem prawie pewność, że mię nie minie. Pierwsze parę godzin podróży, to fraszka (choć są i tacy co z miejsca zaczynają), wkrótce jednak ogarnęła mnie ponura apatya, każąca patrzeć na świat z obrzydzeniem. Ucieka-



Marsylia. — Park miejski „Le Prado“.

łem na pokład, bo tam obserwowanie rozżłoszczonych fal i smaganie twarzy wiatrem utrzymywało w równowadze. W kajucie o wiele gorzej: ta kołysząca się komórka za pierwszym w nią wstąpieniem przyprawiała mnie o mdłości i wypędzała co rychlej nazewnątrz.

Do godziny 6-jej t. j. do obiadu pasażerowie o tyle byli już przez fale „ukołyszani“, że kucharz mógł porobić poważne na obiedzie oszczędności, a ja, zasiadłszy bohatersko do stołu, wstałem jeszcze gorzej usposobiony niż przedtem. To też co

się stać miało stać się musiało i teraz (po wszystkim) nie radzę nikomu zbyt długo się opierać. Poddanie się losowi przyniosło nie tylko ulgę lecz i noc spokojną i miłe przebudzenie się przy coraz uspokajającej się fali.

Ranek wtorkowy był coraz ładniejszy; morskie tonie wypogadzały coraz więcej swe lica, a słońce, już afrykańskie słońce, wyciągało na pokład.

Co za cudowna przemiana. Tylko jednąś noc przespali, tylko raz słońce się dla nas zakryło, a miejsce wiatru północy, zajął zefir majowy, miejsce mgły zimowej — blask słońca, a rzesza podróżnych, pozrzucawszy paltoty i ciepłe okrycia, wyległa na górny pokład rozkoszować się wodami afrykańskimi.

Twarze rozpozgodzone. Zamiast wczorajszego przygnębienia maluje się radość na obliczach, a nasz statek zwany „rapid'em“ pruje fale łagodnie i niesie z szybkością 35 kilometrów do łądu.

Południe. Śruba będzie jeszcze trzy godziny krajać tonie podwodne, a pomimo to na choryzonce, niby chmurka czarniawa, obramowana białą od wierzchu, widnieją góry Atlasu na szczytach ubielone śniegiem.

A więc to Afryka, to Algerya, kraina ciepła i słońca, mlekiem i miodem płynąca, — brzegi gościnne, do których jedziemy po wypoczynek i zdrowie.

Jakże odmienne uczucia miotają przed 75-ciu laty żeglarzami dostrzegającymi te brzegi. Miejsce radości, zajmował strach paniczny, miejsce nadziei odzyskania lub poprawienia zdrowia — obawa utraty życia, a co najmniej wolności i mienia, miejsce wypoczynku — niewola i kajdany.

Te piękne góry, te rozkoszne wybrzeża, przykryte ko-
pułą lazuru, to była wówczas jaskinia piratów, gniazdo zbójcekie,

utrzymujące od 3-ch wieków w strachu marynarzy całej Europy, tamując rozwój handlu i cywilizacyi.

Na estetyce jednakże tym czasom nie zbywało. Miejsce dzisiejszych statków, nieforemnych i niekształtnych, przykrojonych jedynie do potrzeb chwili, ogołconych z masztów, a natomiast ubranych niezgrabnemi kominami, ziejącemi dymem, zajmowały piękne korabie i fregaty otulone setkami żagli, szybujące jak motyle, przeskakując z fali na falę. — A owe straszne zbójeckie galery poruszane, niby olbrzymi krocionóg, setkami wiosł unoszonych rękami niewolników przykutych do ławki. Biedacy, wczoraj pojmani, dzisiaj musieli przyczynić się do napadu na nową ofiarę, która wymknąć się nie mogła, bo przed pościgiem potężnej galery, uzbrojonej w działa, żadnemu żaglowcowi kupieckiemu ująć było niepodobna. Straszne zapasy kończyły się brzękiem kajdan i jękiem nowych ofiar...

Dzisiaj gdy, groźny pasza Dej Algieru należy do przeszłości, gdy galery i korsarze stali się mitem, ich cienie stają przed oczami na tych brzegach, każąc myśli błędzić posępnie po przeszłości i zastanawiać się nad losów kolejną.

II.

Rys historyczno-geograficzny północno-zachodniej Afryki.

Zanim wylądujemy zdajmy sobie sprawę co to za kraj mamy przed sobą. Nęcił on mnie ku sobie nie darmo, bo obok natury podzwrotnikowej, upiększonej malowniczym geograficznym położeniem, czas, do współki z historią, wyciskał epokami swe piętno, do dzisiaj nie zatarte.

Algeryi jednak niemożna rozpatrywać oddzielnie, Tunezania bowiem od wschodu, a Marokko od zachodu stanowią z nią jedną całość naturalną, która dopiero jako taka tworzy kraj różniący się wybitnie od innych.

Te trzy politycznie różne państwa, to prawie wyspa, bo leżąca na południu Sahara, lepiej jeszcze niż morze, kraj cały od reszty świata odcina. To też od czasów przedhistorycznych góry Atlasu, łańcąc się na kilka łańcuchów — Atlasu Wielkiego (w Marokku), Średniego i Małego (w Algeryi i Tunezacji) wraz z okolicznymi wyżynami i pobrzeżami, stanowiły całość, zaludnioną jednolicie przez lud przybyły ze wschodu rasowo jednakowy z Libijczykami, znanymi na parę tysięcy lat przed naszą erą w Egipcie.

Lud ten dziki, przez rzymian z grecka nazywany *βαρβάροι*, do dzisiaj żyje i zaludnia góry pod nazwą ogólną *berberów*,

przezywanych w Marokku Szeluchami, w Algeryi—Kabyłami, w Tunetanii — Krumirami, a w Saharze Tuaregami.

Pomimo, albo może dzięki właśnie na poły wyspiarskiemu położeniu, kraje Atlasu rzucone w klimacie cudownym, nęciły odwiecznie różnych przybyszów po kolei w nim się osiedlających i panujących.



Alger. — Ulica nad portem i skwer.

Zajmowali oni jednakże tylko pobrzeża, wypierając krajowców włąb i nigdy nie mogąc faktycznie zawładnąć górami.

Fenicjanie byli pierwszemi najeźdźcami, którzy pogwałcili w tym kraju prawo Boskie oddając ziemie ojczyste tym którzy je uprawiają; potężna Kartagina rozpostarła potem szeroko swe panowanie aż do czasu gdy siłe Rzymu nic się oprzeć nie mogło. Dzisiejsze kraje Atlasu weszły w skład wielkiego państwa Rzymskiego jako Numidya (Tunis) i Maurytania (Alger i Marokko).

Panowanie Rzymskie, jak wszędzie, tak i tutaj pozosta-
wiło niezatarte piętno w postaci cywilizacyi, rozciągającej się
aż po Saharę, gdzie dotąd ruiny rzymskich budowli się znaj-
dują. To też Numidya i Maurytania były ważnemi prowinc-
jami o wysokim stopniu kultury, której ślady napełniają co-
raz liczniej nowoczesne algerskie muzea.

Wykopaliska każą przypuszczać, że dwie rzymskie pro-
wincye doszłyby do niezwykłego stopnia rozwoju, a nawet
rozkwitu, gdyby losy nie zesłały w VII-m wieku nawały ara-
bów, zmiatającej wszystko co rzymianie byli zaszczepili.

Tysiąc dwieście lat panowania arabskiego, to wielki okres
w historii tej ziemi, to czasy zagłady kultury i cofnięcia wstecz
w rozwoju. Pseudo — cywilizacya arabska na tym gruncie
starła wszystko obce, zaludniła go przeważnie swoją rasą,
a całej ludności tubylczej narzuciła religię Mahometa z natury
swojej przeciwną wszelkiemu postępowi.

Islam zna tylko dwa stany nastroju duchowego narodu:
szaloną, fanatyczną energię podboju, która doprowadziła małą
stosunkowo garstkę arabów od Mekki aż po Marokko i Hisz-
panię, kładąc na wieki u ich stóp całą północną Afrykę, lub
też beźmierną apatyę i bierność. Pierwsza, druzgocząca, dzia-
łając niby huragan, poobalała wszystko na swej drodze, dru-
ga, przez 1200 lat nic prawie nie stworzyła, pogrążając na
poły ucywilizowany kraj ponownie w barbarzyństwie.

Owa chwalona nauka i literatura arabska nie w Afryce
powstała, lecz w Hiszpanii t. j. tam, gdzie dotarły zaledwie
ostatnie fale muzułmańskiego zalewu i gdzie się spotkały
z inną dość jeszcze silną kulturą.

W Afryce kwiatem cywilizacyi muzułmańskiej był jedy-
nie bandytyzm i korsarstwo na zewnątrz, a poniżenie stano-
wiska kobiety i niewolnictwo na wewnątrz.

Łupieskie morskie wyprawy dejów Algeru, stojących pod protektoratem Turcyi, dawały się strasznie we znaki wszystkim państwom śródziemnomorskim, pobudzając do wypraw mających na celu wytępienie korsarstwa.

Niełatwe to jednak musiało być zadanie, kiedy 300 lat było potrzeba, by się nareszcie w r. 1830 Francyi udało ujarzmić arabów i położyć koniec oplakanym stosunkom.

Dzisiaj kraje Atlasu zakwitają na nowo pod ręką wolnego państwa, które, chociaż siłą zdobywało swe prawa, jednakże, nic nie naruszając ani religii, ani swobód mieszkańców, wnosi im dobrodziejstwa cywilizacyi bujnie się tutaj krzewiącej.

*

*

*

O ile się zgodzi powyższy rys historyczny z rzeczywistością, mającą stanąć przed naszymi oczami, zaraz zobaczymy, bo oto bieleją już rozłożone amfiteatralnie mury miasta Algeru, do którego przystani poważnie i ostrożnie wpływamy.

III.

Wjazd do Algieru. — Port. — Arabowie. — Maurowie. — Kabyle. — M'zabici. — Negrzy. — Żydzi i Francuzi.

Wybrzeże bardzo wyniosłe, okryte bujną roślinnością, usiane białymi domkami od samego morza aż po szczyty, przedewszystkiem rzuca się nam w oczy.

Statek kieruje się ku największemu skupieniu domów, ku wielkiej plamie białawej, pokrywającej wybrzeże z prawej strony. Powoli oko rozróżnia w tej plamie dwa tła: ciemniejsze idące pasem od dołu, nad morzem rozciągnięte — to miasto europejskie i drugie, oślepiająco białe, rozciągnięte u góry — miasto arabskie.

Na tle dolnem oddzielają się już od siebie pojedyncze domy: wielkie 5-o, 6-o i 7-o piętrowe kamienice, wsparte na niezliczonej ilości łuków, podtrzymujących galerie.

Widzimy już tramwaje elektryczne, przebiegające po wybrzeżu, słyszemy odległy gwar wielkiego miasta i, zupełnie wreszcie dokładnie, odróżniamy budowle portowe, rozłożone o wiele niżej od samych miejskich bulwarów i budowli nadbrzeżnych. Wysoko na 4 piętra po nad portem wniesione gmachy, a nad nimi piętrzące się miasto, składają się na tak malowniczy widok jakiegom w żadnym porcie nie widział.

Wjeżdżamy. Dwa wielkie ramiona tam, rzuconych śmiałą ręką francuską w morze, zamykają port z dwóch stron i wyciągają się ku nam przychylnie, zapraszając w swoje objęcia. Odbywamy jeszcze kilka ewolucyi, by stanąć na kotwicy, machina wreszcie ucicha, ustępując gwarowi jaki naraz nas otacza. Na statek po spuszczonych schodkach wdziera się tłum różnokolorowy, jakby sobie przypominał czasy korsarstwa



Alger. — Wnętrze meczetu „El-Kebir“. Posadzka i filary od dołu obwinięte i wyłożone matami.

i dobrego połowu: turbany, burnusy, czarne i śniade twarze, nagie łydki i poważne szarawary, migają przed oczyma.

Oszołomiony, niezdołałem się jeszcze zorientować, gdy jakaś biała postać w turbanie, lecz z gołymi nogami, chwyciła nasze bagaże. Z początku broniłem, lecz arab z uprzejmym uśmiechem niezgorszą francuzczyzną objaśnił, że on jest „l'homme de Compagnie Transatlantique“ i na dowód pokazał blachę z numerem na ramieniu przywiązaną. Wobec ta-

kiego argumentu, powierzyłem tragarzowi tłomoki. Nasz Hamud, bo takie nosił on imię, załatwił nawet wszelkie formalności celne i wyprowadził nas na górę, na bulwary, gdzie nowe czekały niespodzianki.

*

*

*

Jak we wszystkich miastach południa, w Algerze cały ruch ludności koncentruje się na ulicy i placach, a szczególnie w mieście dolnem nad morzem rozłożonem.

Niby wenecki plac Ś-go Marka, tutejszy „Place de Gouvernement“, jednym bokiem do portu przylegający, a wyniesiony nadeń na kilka piątr wysoko, ściąga na ogólne rendez-vous całą ludność miasta.

To też wejście prosto ze statku na Place de Gouvernement wprost odurza, napawając oczy taką pstrokacizną i różnaitością widoków, że na razie niepodobna nawet zdać sobie sprawy z tego co nas otacza.

Przeważne tło stanowią arabowie z górnej dzielnicy miasta przybyli, ubrani w białe (często brudne) burnusy, malowniczo narzucone na ramiona. Coś w rodzaju białego pudła na głowie, obwiniełego wielokrotnie grubym sznurem kolorowym, zastępuje turban, odrzadka tylko tutaj noszony. Nogi najczęściej bose, obute w sandały, dopełniają prostego lecz malowniczego i wygodnego stroju. Tak się noszą również wszyscy arabowie rolnicy i najbiedniejszy plebs żebraczy, owi lazzaroni Afryki, których pełno na wszystkich ulicach Algeru.

Obok przewija się maur, mieszczuch tutejszy, właściciel sklepu lub rzemieślnik możniejszy. Takiż on arab jak i poprzedni tylko ubiorem naśladuje stambulskiego turka: piękne szarawary, pas szeroki fałdzisty, krótka kurteczka i fez na gło-

wie dobierane w różnych kolorach na całość ubioru dobrze się składają. W porze wieczornej burnus, rzucony przez ramię lub malowniczo udrapowany, czyni zeń eleganta o oczach czarnych i rysach regularnych mile w oczy wpadających.

Najstarszy i najpracowitszy syn tej ziemi Kabył, obciera się ciągle na placu Gouvernement o swego ujarzmiela araba, zajmując jednakże najpodrzedniejsze stanowisko. Bruk miejski to nie miejsce dla niego. Choć ubiorem nie różni się prawie od biedniejszych arabów, postać jednak schylona i wzrok pokorny wskazują, że już on tu nigdy właściwej pozycji nie zajmie; jego miejsce w górach, na rozległych wyżynach, gdzie, pomimo wielowiekowej niewoli, śmiało roślą swą postać prostuje i dumnie na obcych spogląda. Twarz szeroka o nosie nieco spłaszczonym i cerze dość jasnej odrazu sympatyę dlań budzi i każe żałować, że mu nie dano w całości władac swą ziemią, lecz zawsze rolę paryasa odgrywać.

W tłumie widać inne postacie śpiesznie dokądś dążące, wiecznie zajęte, a przyodziane w płaszcze, raczej worki z krótkimi rękawami kolorem dywany tureckie przypominające; twarz podobna do tuziemnych kabyłów, lecz nieco odmienna— to *Mzabici*, mieszkańcy 4-ch oaz Sahary, przybywający na zarobki i z bogacenie się do cywilizowanych miast Algeryi. Uzbierawszy nieco grosza do oaz wracają by na własność grunt kupić i spędzić w ojczyźnie stare swe lata.

Siła zbrojna francuska na placu ma także swych przedstawicieli. Grupka dzielnych *żuawów* o bródkach z hiszpańska przystrzyżonych, przyodziana w czerwone szarawary i czerwono-białe turbaniki, gwarzy wesoło z konnymi *spahisami* również czerwono z arabska przyodzianymi, owiniętymi w takież burnusy malowniczo na ramiona zarzucone. Żuawi—to młodzież

francuska, spahisi—to już krajowcy w służbie francuskiej pozostający.

Za nimi czarne twarze *negrów* z koszykami na głowie, świadczą o przebrzmiałem niewolnictwie. Są to potomkowie dziadów z wnętrza Afryki przez srogich dawnych arabsów sprowadzonych.

A oto idzie grupka kilku *kobiet arabskich*. Białe postacie przybrane w szerokie fałdziste szarawary, z oczami świecącymi jak węgle nad tajemniczymi jaszmakami, błędzą, budząc ciekawość europejskiego przechodnia. Jakże jednak ta biedna arabka nędznie bez zasłon wygląda. Oczy podmalowane, paznogie poczerwienione, a na rękach tanie błyskotki; ruchy niepewne i płochliwe świadczą o wielowiekowej niewoli i upodleniu graniczącym z głupotą.

Jeżeli do tego obrazu z placu „Gouvernement“, dodamy *żyda* udającego francuza i gromadę rzeczywistych francuzów różnych stanów, oraz małych arabczyków w czerwonych fezach, sprzedających gazety lub natrętnie napraszających się do oczyszczenia obuwia, a wszystko rzucimy na tło alei palm kokosowych i daktylowych, z jednej strony, a na biały meczet Peszeri z drugiej strony, to wyrobimy sobie słabe pojęcie o tem co na pierwszy rzut oka w Algerze uderza.

*

*

*

To co widzimy o każdej porze dnia na placu „Gouvernement“, najzupełniej odtwarza w miniaturze całą ludność kraju.

Jak na tym placu, tak i wszędzie *francuzi* są panami sytuacji choć ich jest tylko pół miliona na $4\frac{1}{2}$ miliona całej ludności Algeryi. Stanowisko naczelne zawdzięczają sile cy-

wilizacyjnej i orężnej oraz szanowaniu swobód innych podbitych ludów; Francuzi to sympatyczni panowie tej ziemi, bo gdyby nie oni gnuśniałyby dalej, tak jakto było przez lat 1200.

Arabów liczą 3 miliony, liczba ta jednak nic już nie mówi, bo, raz podbici, pogodzili się z losem w myśl fatalistycznej swojej religii. Dzisiaj podziwiają tylko cuda cywilizacji



Alger. — Port położony bezpośrednio pod bulwarem nadmorskim i łagodny zjazd doń prowadzący.

przez zwycięzców im pokazywane i uczą się o ile można z nich korzystać.

Kabyle tem są czem byli za czasów poprzednich, mniej jednak przejęci duchem Islamu (ich kobiety nawet twarzy nie zasłaniają) zdają się być lepszym materiałem do przyjęcia cywilizacji nowożytnej.

Żydzi w liczbie kilkudziesięciu tysięcy, jak zawsze trzymając z siłą i z mocniejszym, nabywszy praw obywatelskich,

na gwałt we francuzów się przemieniają, co nie przeszkadza jednak w szerzeniu nawet w Algeryi antisemityzmu, wyrazem którego jest specyjalna gazeta „Antijuif“ drukująca w nagłówku każdego numeru: „a la port les Juifs“.

Reszta ludności składająca się z Hiszpanów, Włochów, M'zabitów i Negrów idzie tam gdzie ją rząd francuski popycha, przyczyniając się tylko biernie do postępu i cywilizacyi bardzo silnie się tutaj krzewiącej.

IV.

Miasto Algier. — Przedmieście Mustafa. — Miasto arabskie. — Cywilizacja to żywioł. — Porównanie z nami.

Plac „de Gouvernement“ to serce miasta i punkt centralny w półkolu jakie 150,000-ny Algier zatacza, przytykając ku morzu. W kierunku poziomym w obie strony rozciąga się dzielnica europejska, w górę idzie miasto arabskie.

Większość ulic francuskich przystosowuje się do klimatu gorącego, budując sklepy pod galeryami (tak malowniczo od morza wyglądającymi), dającymi cień i chłód przechodniom. To też wygląd miasta, szczególnie przy skwerach o roślinności tropikalnej, ma zupełnie odmienny od naszego, egzotyczny charakter.

Ulica Bab-Azun, ozdobiona pięknymi sklepami pierwszorzędniemi, kieruje nas ku przedmieściu Mustafa rzuconemu na południu a będącemu siedliskiem cudzoziemców. Mustafa, to już także miasto, niczem prawie od Algieru się nie różniące, trzeba jednak jeszcze pisać się wysoko w górę, by wyjść z murów przedmieścia i zachwycać się willami rozrzuconymi malowniczo po pochyłości wśród zieleni; ulice wiją się tu ciągle, a każdy zakręt otwiera panoramę godną pędzla malarza.

Na pierwszym planie uderza zazwyczaj bujna roślinność z niżej położonego ogrodu, czubkami swych drzew i palm się wychylająca, dalej, wśród zieleni, kąpią się domki mniejsze i większe w stylu europejskim lub maurytańskim budowane, jeszcze niżej zbitya masa domów Mustafy, a na dole morze otwarte, zlewające się w oddali z chmurami.



Alger. — Widok miasta od strony portu wojennego z uwidocznieniem wysokich podmurowań arkadowych bulwaru nadbrzeżnego.

Ulica Bab-El-Ued, prowadząc od środka miasta na północ, kieruje ku przedmieściu St-Eugene, znów malowniczo willami ubranemu.

Zupełnie co innego spotykamy pnąc się od portu w górę. Tłumy arabsów zwiększają się co chwila, a ulice tracą regularność i prostolinijność, ustępując miejsca labiryntowi zupełnie bezładnemu; o jeździe kołowej mowy już niema; uliczki—to przeważnie korytarze, często zupełnie od góry przez 2

przeciwległe stykające się balkony od nieba zasłonięte; okienka malutkie, porozrzucane jak wypadło, bo życie arabskie tylko wewnątrz murów się koncentruje.

Zaułki płaczą się bezładnie poprzemieniane w rodzaj schodów, kończąc się ślepymi odrostkami bez wyjścia; brud i zaduch nieznośny a przeciskające się rzesze różnokolorowe także czystością nie grzeszą. Europejczyk z podziwem zwiedza te zakamarki, zapuszczając wzrok to do sklepiku nędznego—to do kawiarni arabskiej, w której postaci z podkulonemi nogami grają w kości lub karty, a zdala zdają się kupą szarych (niegdyś białych) łachmanów od której wieje brud i nędza—to wreszcie do warsztatu rzemieślnika zręcznie puszczonego w ruch ręczną tokarnię, lub nizającego igłą wzorzyste tkaniny.

Gdzieniedzie błysnie kąt świeżo pomalowany, a w nim twarze kobiece *bez* jaszmaków — to... niezamężne niewiasty, zwyczajami zamężnych kobiet się nie krępujące, rade na widok publiczny wdzięki swe wystawiają.

W biały dzień miasto arabskie o ludności biednej i ciemnej może być zwiedzane przez wszystkich, a nawet przechodzień biały jest tu szczególnie szanowany. W nocy wszystkie dzikie instynkty budzą się w ujarzmionym arabie; gdyby tylko pewnym był bezkarności, nie zawahałby się z napaścią brutalną. Ale, że władza francuska dobre na miasto arabskie ma oko, więc o rozbojach nawet na górze nie słyhać.

Wszystkie uliczki, prowadząc z „kasby“ (resztki starej fortecy arabskiej górującej nad dzielnicą arabską) ku dołowi wiodą do dzielnicy francuskiej, dlatego też łatwo ją zawsze odnaleźć, a pomimo krętości ulic, w dzielnicy arabskiej zabłądzić prawie nie podobna.

Wychodząc z arabskiego labiryntu, owiany duchem wschodu i tajemniczości, znalazłem się nagle w obec ostatnie-

go słowa cywilizacji. Szczęk tramwajów elektrycznych, głuchy ryk samochodów i to całe miasto europejskie pełne współczesnego ruchu i gwaru, ten kawałek Paryża przeniesiony na ziemię afrykańską i zetknięty ze światem muzułmańskim, pobudza silnie zmysł krytyczny i każe głęboko zastanowić się



Algerya. — Piękna kabyłka.

nad przyczyną powstania takiego kontrastu, nad możliwością wreszcie istnienia obok siebie tak odmiennych dzielnic.

Cywilizacja wydaje się czemś potężnym, czemś nieuchwytnym, jakimś *nówem żywiołem*, któremu nic oprzeć się nie zdoła. Gdzie jej duch twórczy powieje, tam nie jej nie powstrzyma. Jeżeli na drodze napotka narody-dęby, choć

stare, lecz nieugięte, złamie je siłą orkanu i na opróżnionem miejscu zasieje nasiona w bujny las wyrastające. Potęga tkwiąca w kulturze, dla tych jednak wyłącznie odżywcza się okazuje, którzy ją, niby trzcina pochylając się, za swoją przyznają, nią się przejmą i oddają dalej nie stanowiąc zapory.

Arabom nic już nie pomoże. Jeżdżą wprawdzie elektrycznością i parą, oswoili się ze sztuką, literaturą i nowoczesnym przemysłem ale są im obcy zupełnie. Oni są tylko widzami lub lepiej sługami tego co się na arenie życia odbywa. Aktorami nie będą, bo wieki przeżyte w ramach koranu wysały z nich wszelką siłę płodną, wytępiły uczucia i pozbawiły, przez upodlenie kobiety, połowy sił żywotnych, tkwiących w każdym narodzie.

Patrząc na arabów porównywałem z nimi społeczeństwo i ciemny nasz lud. Jedyne wyższa religja wynosi chłopą nad araba, bo ciemnotą wiele się odeń nie różni. Zestawiając te dwa tak odmienne i odległe od siebie ludy, całą potęgą umysłu czuję potrzebę podniesienia kulturalnego mas i oświaty.

V.

„Jardin d'essai“. — Palmy. — Kauczuki. —
Bambusy. — Kokosy. — Raj.

Nie dziw, że wszystkie nacye garną się odwiecznie do Algeru, bo niebo niezwykle łaskawie obdarzyło go klimatem wyjątkowym; niemasz tu zimy, niemasz nawet pory deszczowej, gorszej nieraz od mrozu. Od jesieni aż do wiosny panuje śliczna majowa temperatura, rzekłbyś nasz maj i czerwiec zraszany dość często deszczami; lato też niezbyt upalne; na wybrzeżach klimat łagodzi morze, a w głębi łądu góry żar słońca miarkują.

Dla wypróbowania jakie rośliny w tak wyjątkowym klimacie mogą wyrastać, założyli francuzi za miastem stacyę doświadczalną zwaną „Jardin d'Essai“, ogród, w którym widz znajdzie wszystko co tylko pod zwrotnikiem rośnie. To co wytrzyma długoletnią próbę będzie rozpowszechniane po kraju, co klimatu nie zniesie, jako takie ogłoszonym będzie.

Cele czysto-praktyczne stworzyły jednak z ogrodu „d'Essai“ rozkoszny zakątek, dający lubować się wszystkim co natura najpiękniejszego stworzyła w świecie roślinnym.

Zaraz od wejścia wkraczasz w aleję palm daktylowych, sięgających pióropuszcami wysoko pod niebo. Ich pnie sękatę,

śmiało śmigające ku niebu świadczą, że daktyl czuje się tu w domu, że mu tu dobrze, że jego owoc jest i będzie jednym z bogactw kraju.

Aleję daktylową podbijają niskie drzewiaste juki o pniach rozgałęzionych, niezgrabnych i przysadkowatych; gosposie, hodujące je u nas w wazonach, nie poznałyby drzew wielkich, o gałęziach maczugowatych, cienkich u nasady a u wierzchołka rozszerzonych.

Aleję drugą, równoległą z palmową, tworzą drzewa kauczukowe (w wazonach u nas figusami zwane). Drzewa należą do olbrzymich; ich rozłożyste korony, łączą się ze sobą, tworząc z alei tunel zamknięty. Ogrom rozgałęzienia i liściostanu wiecznie zielonego nie mógł by się odkarmić za pomocą jednego pnia, to też gałęzie, hołdując zasadzie samopomocy, wysyłają wiotkie korzonkowate odrostki, niby bródki, ku dołowi, gruntu szukając. Jeżeli się takiemu odrostkowi uda do ziemi dorosnąć, zapuszcza w głębę przygotowane ssawki i w prawdziwy się korzeń zamienia; to co nad ziemią wystaje, grubieje i powoli tworzy pień dodatkowy, pomocniczy, podtrzymujący bujną wegetację korony. Pnie dodatkowe przy starych drzewach rosną w wielkiej ilości, tworząc z głównem zbiór pni wzajemnie ze sobą pozrastanych i poskręcanych, czyniąc wrażenie wegetacji łącie podzwrotnikowej.

Dwie powyżej opisane aleje łączy trzecia, lepiej rzec tunel-altana. Bambusy ją tworzą. Widz europejski staje z podziwem przed tą trzciną gigantyczną, urastającą na wysokość czteropiętrowego domu. Łodygi dochodzą do 15 i 20 centymetrów średnicy, równając się grubością 10-cio letnim drzewkom liściastym. Takie 4-o piętrowe ździebełko wyrasta od ziemi w ciągu *jednego* roku, można więc pojąć jaki to kiełek

obecnie (w lutym), z ziemi się wydostaje: pączek bambusa, to niby wyprostowany ząb słońiowy śmiało ku górze strzelający, codziennie w upalne dni po 10. cali podrastający.



Algerya. — Zamożny arab.

Aleja bambusowa przenosi nas myślą w haszcze indyjskie, a wyobraźnia nasuwa postacie lwów, panter i tygrysów, lada chwila ukazać się mających. Nic z tego. Cywilizacya

swoje zrobiła, za dzikim zwierzem niema się co oglądać, a lepiej usiąść na wygodnej ogrodowej ławeczce, ciesząc wzrok spokojnie olbrzymami świata roślinnego.

Wychylając się z tunelu cienistego, wychodzimy na obszerną polankę, pośrodku sadzawką przyozdobioną. Całe masy wodnego, barwnego drobiazgu wynurzają z wody swe kity i liście, zwracając ku słońcu swe lica.

Za stawem i dróżką czarna znów ściana zieleni oko zatrzymuje: łodygi ziołowate, niby nasza kukurydza, wielkie jednak i drzewiaste, dorastają dwóch piątr co najmniej. Olbrzymie liście przez wiatr postrzępione tworzą rodzaj piór ptaków olbrzymich; gąszcz tak jest zbity, że można by w nim siekierę zawiesić, a wielkie jak strusie jaja pąki ku dołowi się zwieszają. Te krzaki, czy zioła olbrzymie — to rodzaj bananów, „drzewem podróżnych“ na Madagaskarze zwany; zręcznie wśród nich utworzona altana z paroma ławkami znów pozwala nasycić wzrok i wyobraźnię do syta.

Po stronie przeciwnej widzisz cały gaik kokosowy: palmy smukłe o pniu gładkim, zakończone bujniejszym i wiotszym niż u daktyli pióropuszem, jeszcze ładniej wyglądają; brak tylko małych figlarnych, by na głowę olbrzymie orzechy zrzuciły.

Od kokosów kręta drożyna wije się wśród palm wachlarzowych o pniach grubych, włochatych, najpiękniejszych gdy jeszcze niewiele od ziemi odrosną. Dalej gaiki draceny dorastają paropiętrowej wysokości o pniach drzewiastych niezwykłej formy i grubości; dalej jeszcze, cytryny, pomarańcze, migdały i drzewa różanne, kwieciami pokryte. A obok potentatów roślinnych całe masy różnego innego drobiazgu bujnie pnąciami się roślinami przeplatanego.

Gdy pomyśleć, że na to patrzy się w lutem, gdy u nas mróz trzyma ziemię w okowach, i kraj całunem śniegu przykryty, to ziarno zazdrości kiełkuje z całą swą siłą, że trzeba przywołać siłę swej woli i wzbudzić przywiązanie do ziemi ukochanej, i nie pożądać tego na co patrzymy. Tak tylko legendowy raj ziemski mógł niegdyś wyglądać.

VI.

Okolice Algieru. — Zima południa. — Komitet dla zimowników. — Koleje do Sahary. — Ąpetyt Francyi.

Wrażenie raju ziemskiego nie kończy się z ogrodzeniem Jardin d'Essai — towarzyszy ono we wszystkich wycieczkach w okolicę na góry podmiejskie.

Wszędzie białe wille kąpią się wśród zieleni, wychylając zalotnie części swych murów z za wachlarzów palmowych, obwieszane na sztachetach ścianą kwitnącej pelargonii, a strzeżone od drogi szeregiem kolczastej agawy i szpalerem kaktusów olbrzymich.

Co chwila wśród świata roślinnego wzrok odkrywa jakieś olbrzyma podobnego do znanych nam w pokoju roślin wazonowych. A wszak to dopiero brzask tutejszej wiosny, a krajobraz nazywa się „zimowym“.

Dlaczego? — Przecież wszystko dokoła zielone i kwitnące? Oko świeżo, z prawdziwej zimy, przybyłego tego terminu ani pojąć, ani zastosować nie może. A jednak po dłuższem pobycie spostrzega się różnicę.

Jestto bądź co bądź odpoczynek natury, zamknięcie cyklu wegetacji rocznej, kończącej się w grudniu. Jestto pora, gdy pomarańcze, cytryny, daktyle i inne owoce zwrotnikowe

dojrzałe na gałęziach wiszą i świadczą o płodnie przepędzonym lecie, gdy soki żywotne, wewnątrz zatrzymane, opadają i liściom odejmują pozór świeżości, gdy bujniejsza nawet tra-



Algerya. — M'zabita, mieszkaniec oaz, czasowo do miasta dla handlu przybyły.

wa i trzcina przysycha, by dać korzeniowi możliwość wzmocnienia się i zabłyśnięcia na nowo świeżemi listkami i kwiatów kitami, gdy grube liście agawy przybrały prawie czarny kolor, a wiotki jej kwiat, młode drzewko przypominający, jest już

wyschniętym badylem, gdy wreszcie drzewa liściaste stref umiarkowanych, jak platany, dęby i klony, pomimo ciepła i słońca, niechcąc zrywać z tradycją, liść tracą, by świadczyć nagiem konarami o tęsknocie za daleką północną ojczyzną.

To też rolnik darmo czasu nie traci, zbiór letni zimowym przegradza, do pory odpowiednie rośliny dobierając.

Okolice Algeru i całe pozostające wybrzeże, to kraj wysoce cywilizowany. Każdy kawałek ziemi wyzyskany dla pracy rolnika, albo ogrodnika.

Niezależnie od bogactwa natury francuzi dobrze wiedzą jaki to dochód dla kraju stanowią przyjezdni bogaci cudzoziemcy. Istnieje też „Comité Algérien de Propagande et d'Hivernage“ t. j. towarzystwo dobrych obywateli kraju bezinteresownie zajmujących się przyjezdnymi „zimownikami“ (l'hiverneur). Komitet ułatwia im wyszukanie mieszkania, urządza zbiorowe wycieczki, od czasu do czasu organizuje ciekawe przedstawienia i t. p.

Tak postępując, bezwątpienia, przy wyjątkowo sprzyjających dla zimowiska warunkach, ściąga i ściągać będzie masę przyjezdnych. Pomimo spodziewanej świetnej przyszłości już i teraz cała okolica usiana przepysznyemi willami, które chętnie bogaci anglicy zajmują.

O ile w mieście widzimy dużo arabów, o tyle najbliższa okolica zupełnie prawie ich nie posiada. To kraj w całości francuski, każący zapominać o Afryce, arabach, kabyłach i wszelkich innych krajowcach.

Drogi pyszne szosowe, elektryczne i parowe stanowią tak gęstą sieć, pomimo górzystości położenia, że do każdego punktu dotrzeć można z łatwością, szybko i tanio.

By odnaleźć krajowca trzeba się więcej wewnątrz kraju zagłębić, ku czemu środków komunikacyi nie zbraknie.

Szczególniej pod tym względem rozwinął się departament wschodni Konstantyny, przylegający do Tunetanii. Niższe góry pozwoliły łatwiej zbudować koleje głęboko wrzynające się w głąb łądu, prowadząc za sobą kolonistów.

Linia od Konstantyny, wiodąca ku Saharze, prowadzi do samych oaz i pozwala po drodze w wycieczkach około Batny oglądać ruiny rzymskiej Lambezy i Timgad, w oazie El-Kantara czuć przedsmak pustyni, by nareszcie w oazie Biskry prawdziwym pustynnym widokiem i powietrzem nasycić. Dzięki kapitałom francuskim, wszystko to można widzieć i poznać, zatrzymując się w wygodnych pierwszorzędnym hotelach.

Druga odnoga kolei, przy samej granicy Tunetanii idąca, dociera do Tebessy, znów sławnej rzymskimi ruinami.

Krańcowe punkty algerskich kolei, jako na południu gór położone, mają klimat gorętszy i znacznie suchszy. To powoduje napływ do Sahary zimowników i roznoszenie kultury aż tam, gdzie nie tak dawno jedyną lokomocyę wielbłąd stanowił, a arab był jedynym panem.

Departament środkowy Algeru, jako najwięcej górzysty, kwitnie głównie po brzegach, pozostawiając wyżynę kabylską stosunkowo mało zmienioną.

Departament Oranu, jako zachodni i przytykający do niepodległego Marokka, cieszy się znów większą uwagą rządu. Buduje on swoim kosztem aż do Figuig wielką linię strategiczną nad granicą Marokka i zamierza dalej ją prowadzić przez całą Saharę aż do Timbaktu i francuskiego Sudanu.

Ssawki polipa cywilizacyi wyciągnięte na mapie w po-

staci kolei ku południowi, dotykając Marokka, zdradzają wyraźnie apetyt wolnej republiki ku zagarnięciu sąsiada i całej Sahary. Poznawszy jednak nędzę i gnuśność Islamu można być pewnym, że życzenia francuskie spełnią się w niedalekiej przyszłości, że kultura europejska aż do Atlantyku swe skrzydła w Afryce rozciągnie, że wreszcie nasze dzieci lub wnuki tak bezpiecznie po Marokku jak my po Algeryi jeździć będą.

VII.

Francuz jako kolonista. — Nowa Francya. — Księża brodaci. — Czarna Matka Boska Afrykańska.

Dzięki świetnym środkom komunikacyi, zawczasu przygotowanym, kolonizacya francuska robi wielkie postępy. Francuz jednak tutejszy wielce się już od europejskiego odmienił. Z chwilą wstąpienia do Afryki zerwał z fatalnem precywilizowaniem tak wstrętnem i zgubnem w Europie. Jakaś inna weń energia wstąpiła.

Europejska obojętność religijna ustąpiła żarliwości z jaką buduje kościoły, kościołki i kaplice, tani szych i blichtr ustąpił pracy rzetelnej, której dowodem jest cały ten kraj kulturalny tylko przez 70 lat stworzony, szablonowe budownictwo, nie mogące w Europie nic przeciwstawić pięknym staroniemieckim budowłom, tutaj, w ostatnich latach chywiło się stylu maurytańskiego i zaczyna w tym duchu prawdziwe cacka budować, nawet sławna francuska bezdzietność na tym gruncie zanika, bo widzi się z przyjemnością masę dzieciaków, przyszłych działaczy kolonii.

Robota kulturalna prowadzi się też porządnie i systematycznie. Kilka zwiedzanych wsi okolicznych, jak El-Biar,

Birmandreis, Bu-Zarea, Bir-Kadem, Kuba i t. d. dały mi poznać system jakiego się tu trzymają.

Wybierając się do miejscowości tak arabskich, myślałem oczywiście o rewolwerze i obronie, w razie napaści osobistej— jakże jednak się to śmiesznem wobec rzeczywistości okazało. W El-Biar naprzykład, zamiast domniemanych uliczek arabskich, zastałem piękny skwer zadrzewiony palmami i ubrany kwietnikami, a na nim pośrodku kościółek, istne cacko architektury maurytańskiej: fronton, choć stylowy lecz prosty, wewnątrz zato, przy całej skromności, posiada tyle artyzmu, tyle harmonii linii i łuków, tyle wreszcie drobnych arabesków stylowych, że oczu oderwać nie mogłem, ubolewając nad niemożnością przeniesienia go w całości do kraju, by pokazać jak można wiejskie kościołki budować.

Obok kościołka z jednej strony plebania, a z drugiej szkoła; nieopodal merostwo, a przed niem plac obszerny na zabawy dla dzieci i na zebrania dla gminy.

(Wioska sama, o kilku zaledwie mieszkańcach, schludna, sucha, ze sklepami i chodnikami, posiada pocztę i telegraf; nawet hoteliku nie braknie.)

Ten typ wsi, poczerpnięty z El-Biar i Birmandreisu, powtarza się wszędzie i stanowi wzór, od którego francuz afrykański nie odstępuje, uwarzając gmachy kościoła, szkoły i merostwa, jako kamienie węgielne rozwoju każdej osady i „ludzkiej“ egzystencji człowieka. (Jakże nam, niestety, do tego daleko).

*

*

*

Jednem słowem, Algerya, to nowa Francya, Francya przyszłości, która może kiedyś metropolię zakasuje, dzięki temu zdrowiu fizycznemu i moralnemu, jakie tutaj krzewi.

Z początku rząd dawał kolonistom bezpłatnie działki po kilkanaście hektarkw. Dzisiaj, widać kolonizacya płynie już sama, bo darmo więcej gruntów nie dają, pomimo, że kraj obszerny, równy niemal Francyi, mógłby dziesięć razy obecną ludność wyżywić.

Pobożność tutejszego francuza, ma swój, charakter specjalny. Ponieważ, obok własnego rozwoju i kolonizacyi, ma on, bądź co bądź zadanie misyonarskie, którego zapoznawać nie myśli, przeto wygląd swoich księży przystosował do potrzeb miejscowych.

Kardynał Lavigerie, wielkie działacz algerski zauważył, że księża katoliccy dużo tracą na powadze u krajowców, zawsze brody noszących, wskutek golenia zarostu. Ten drobiazg należało usunąć, bo niepotrzebnie zrażał arabów i ośmieszał kapłanów. Wyjednał to u papieża i obecnie wszyscy świeccy duchowni noszą brody i wąsy, co ich postaciom rzeźczywiście dużo powagi dodaje. Aż żal, że tego u nas uczynić nie można.

Ma już Algerya nawet miejsca cudowne, a nawet bardzo egzotyczne. Na wysokim brzegu, obok miasta, rzekłbyś „na końcu Afryki“ stoi ładny kościół nowożytny pod wezwaniem „Notre Dame d’Afrique“. Owa Matka Boska, dla lepszego opiekowania się ładem afrykańskim jest czarną. Jej postać umieszczona w wielkim ołtarzu musi skutecznie u Boga łaski zjednywać, bo miejsce wyniosłe coraz więcej słynie cudami i zewsząd ściga pielgrzymów.

Na ścianach wisi wotów tysiące w postaci rąk, nóg, łódek, statków morskich i innych, a mnóstwo napisów wraz z całemi kollekcjami szczudeł wiernych, cudownie uzdrowionych, porozwieszanych na ścianach, świadczą, że wiara w Afryce się wzmaga, i że to miejsce będzie coraz sławniej-

sze, będzie rzeczywiście pocieszeniem strapionych, pokrzepieniem wątpiących, a ucieczką dla wierzących i biednych. I tu, na tym wybrzeżu afrykańskim, gdzie wiara Chrystusa ongi święciła tryumfy, na wybrzeżu które niemal całe było już chrześcijańskim, gdzie nawała arabów zniosła wszystko do szczytu, tu, gdzie „giaur“ niemał prawa bytu, chyba w męczeństwie, w niewoli, tu, ta wiara nietylko odzyskuje swe prawa, ale zaczyna panować, a czarna Matka Boska z wysoka, z brzegu Afryki, błogosławi nawet morskim przestrzeniom pełnym niegdyś arabskich korsarzy.

Alger, d. 16 lutego 1902 r.

VIII.

Cywilizacja szła ku północy. — Wielki Rok.

Kultura w krajach Atlasu nie jest nowością. Była ona tutaj jeszcze przed naszą erą, była i kilkaset lat później. Rzym, nawet w epoce przecywilizowania, jak dzisiejsza Francja, był dzielnym krzewicielem postępu i kultury i stworzył z Numidyi i Maurytanii ziemie dość cywilizowane. Świadczą o tem coraz liczniej z pod zatracenia arabskiego, z pod ziemi, wydobywane szczątki świetnych budowli, znajduwane w głębi kraju, gdzie nic podobnego nie podejrzewano. Dość wspomnieć o ruinach Timgadu, Lambezy i Tebessy. Znajdowano budowle rzymskie nawet tam, gdzie, pozornie sądząc, *być nie powinny*, bo na pobrażu Sahary, w miejscach dzisiaj *nie zamieszkałych*, spalonych słońcem pustyni, znajdowano szczątki mostów kamiennych i innych dzieł sztuki technicznej nad rzeczami odwiecznie wody nie posiadającymi, stwierdzono zatem, że dzisiejsza pustynia rozszerzyła swoje granice i zajęła ziemie niegdyś zamieszkałe i żyzne.

Znaleziska takie każą przypuszczać, że klimat Algeryi w czasach rzymskich musiał być chłodniejszy, a Sahara dalej ku południowi zaludniona.

To co spostrzegamy na południu Algeryi, nie wydaje się faktem odosobnionym. Wszak dzisiejsza, mocno skalista Anatolia (Azya mniejsza) była śpichrzem Rzymu, a Mezopotamia, Syrya i Palestyna „ziemią obiecaną“ wcale obecnie do tego pretensyi nie mającą; nawet badanie dziejów i kultury Egiptu



Algerya. — Spahis.

prowadzi do mniemania, że za czasów faraonów ani pustynia tak daleko nie sięgała, ani klimat nie był tak upalnym.

Europa znów środkowa, przed naszą erą, zarosła nieprzebytą puszcza, rzadką tylko ludność posiadała, co było skutkiem istnienia warunków, mniej zaludnieniu, sprzyjających i prawdopodobnie chłodniejszego klimatu.

Jeżeli Afryka północna, Azja mniejsza i Europa środkowa były chłodniejsze niż dzisiaj, to prawdopodobnie Grecya i Rzym w czasach największego rozkwitu również mniej były gorące. Trudniej tam jednakże różnicę skonstatować, bo zmiany nie były tak krańcowe by kraj miały wyludniać. Mniej upalny klimat mógł jedynie sprzyjać większemu natężeniu ludzkiej myśli i energii, co też historia jaknajobrazowiej nam potwierdza. Później, w miarę ogrzewania się, kraje te powinny były cofnąć się nieco w kulturze, co również historia potwierdza.

Zestawiając powyższe, rodzi się zupełnie prawdopodobne przypuszczenie, że w przeciągu ostatnich kilku tysięcy lat klimat półkuli północnej wyraźnie się ocieplał w kierunku ku północy i powoływał do życia kulturalnego ziemie europejskie, dawniej zamarte.

*

*

*

Jednocześnie ze zmianą klimatu zaprzeczyć się nie daje pewna współrzędność posuwania się kultury i cywilizacji, tego kwiatu ziemi, potrzebującego pewnych warunków klimatycznych. Zarówno zbyt wielkie zimno, jak żar słońca upalny stanowczo ją płoszą. Jedynie strefy umiarkowane rozwojowi tego kwiatu sprzyjają.

Assyrya i Egipt są najstarszemi przedstawicielami wysokiej kultury z przed lat kilku tysięcy, bo też najwięcej na południe względem dzisiejszej cywilizacji były położone. W czasie swego rozkwitu mogły mieć klimat Włoch dzisiejszych, lub nawet nieco chłodniejszy.

Z biegiem czasu zakwitły Grecya i Rzym, więcej ku północy położone, siejąc naokół płody kultury swojej z siłą

żywołową. Kwitły wonezas i Anatolia i kraje Atlasu a nawet górzysta Iberya już brzask kultury ogłądać zaczęła.

Po okwitnięciu południa przyszła kolej na północ Europy, która, opierając się na zdobyczach tylu kultur przebrzmiałych, doszła w latach współczesnych do najwyższego stopnia rozwoju, rzekłbyś punktu kulminacyjnego cyklu natury.

Potężna siła cywilizacji współczesnej, zda się popchnęła już kulturę do najdalszych możliwych krańców: jej fale dosięgły kresów północy, piętrzą się niepomierne i tworzą fale powrotne posuwające się znów ku południowi. Dość wspomnieć o odradzającej się Algeryi i Tunisie, odrodzonych już Włoszech, o państwach bałkańskich z pod jarzma tureckiego się wyzwalających, o odbudowanej Helladzie, ba, nawet o Egipcie poczynającym na nowo przywdziewać cywilizowane szaty.

Jednakże parcie fali kulturalnej z powrotem ku południowi również powinno być czemś usprawiedliwione. Jeżeli cywilizacja jest żywołem, tak dobrym jak inne, jeżeli posuwa się ku północy nie dlatego, żeśmy nad tem pracowali, lecz, że tak chce *prawo natury*, jeżeli wogóle (wyrażając się porównawczo) drzewo nie ma prawa twierdzić, że rośnie i kwitnie podług swojej woli, to również musi coś rządzić odpływem soków, musi być jakaś jesień i zima, zmuszająca kwiat cywilizacji do zamiany na owoc, a wreszcie zrzucająca i liście zielone.

Stawiając te postulaty wkraczam w dziedzinę hipotez i to odrazu zaznaczam, nie mogę jednak oprzeć się pokusie połączenia tak namacalnych ruchów cywilizacji ze znanym cyklem natury *rokiem Wielkim* przez astronomów nazywanym.

Niezapuszczając się w szczegóły, któreby mię zadaleko zaprowadziły, konstatuje fakt, że wskutek pewnych wahań osi ziemskiej, istnieje cofanie się punktów równonocnych, które sprowadza dla każdej półkuli naprzemian wielki cykl termiczny, wielce podobny do 4-ch pór roku kalendarzowego.



Alger. — Żydówka.

Cykl ten obejmuje lat przeszło 20,000 t. j., że przeszło po 5,000 lat trwają wielkie pory roku naszej wiosnie, latu, jesieni i zimie odpowiadające, wiek zaś XIII-ty naszej ery był punktem odpowiadającym dniu 21 czerwca roku naszego zwyczajnego.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że każdy dzień „wielkiego roku“ odpowiada 60-ciu latom zwykłym, to skonstatujemy, że obecny początek wieku XX-go odpowiada pierwszym dniom lipca.



Alger. — Arabka na ulicy.

Jest faktem, żeśmy wobec tego (ciągle się obracając w sferze porównań z naszym rokiem zwykłym) już najdłuższe dni „wielkiego roku“ przebyli i obecnie, mając jeszcze przed sobą część lata, dążymy ku „wielkiej jesieni“.

Najgorętrze (a może lepiej byłoby powiedzieć „najdłuższe“) dni roku wielkiego już się ku południowi cofają, co by było równoległym z posuwaniem się tam cywilizacyi. Jaka jednakże pora „roku wielkiego“ najwięcej sprzyja kulturze, tego zauważyć nie jesteśmy wstanie, wyrażając się obrazowo, nie wiemy o jakiej porze drzewo cywilizacyi kwitnie i owoce wydaje.

Na analogiach lata zwykłego się opierając, sądzić możemy, że, jakkolwiek klimat wywołujący kulturę już się ku południowi posuwa, Europa jednak środkowa, siłą dotychczasowego ogrzania, aż do „wielkiej jesieni“ światłem błyszcząc będzie, tak jak nasz lipiec i sierpień, wszelkiej roślinności sprzyjając.

Tak więc, jeżeli przyjmujemy śmiałą tę hipotezę, to przyznać musimy, że *cywilizacya to żywioł*, któremu nic się oprzeć nie może, że dekrety królów, podpisujące wielkie wyprawy dla podbicia krain dalekich, że głosowania parlamentów, decydujące o rozszerzeniu oświaty, że prace genialnych myślicieli, poetów, artystów i techników, nie są aktami zupełnie wolnej woli, lecz, dając wszelkie pozory takowej, zakreślone już są od dawna Najwyższą Potęgą i w zasadzie *z góry przewidziane*.

Rozpatrzyliśmy posuwanie się kultury od południa ku północy w czasie wiosny „roku wielkiego“, bo najdawniejsze czasy Egipskie właśnie kalendarzowej wiosnie tego Roku odpowiadać będą. Sprobójmyż teraz rozpatrzyć czy rozkwitaniu cywilizacyi w kierunku północy towarzyszył zanik tejże od południa, czy kwiat cywilizacyi usychał pod zbytym skwarem rozpalającym krainy południa, czy i w tym kierunku skwar „wielkiego lata“ robił swoje?

W czasie gdy Sumiro-Akkadyjskie ludy osiadłe jeszcze przed Assyryjczykami w Mezopotamii i Egipcycanie w Afryce pomniki dzisiaj odgrzebywane budowali, południe Europy jesz-

cze barbarzyńskim było, a o ówczesnej Europie środkowej nie powiedzieć nie można, najprawdopodobniej była bezludną, mokrą i puszciami zarosłą.

Gdy Rzym kwitł i potężniał—Egipt już przeżywał dni swoje, aż się doczekał religii Mahometa, która jak wiatr pałący pu-



Algerya. — Tuareg, mieszkaniec pustyni, przysłaniający usta czarnym woalem w celu ochrony przed ruchomymi piaskami.

styni wypleniała wszystko co na północy Afryki powstało. — I zamarło wszystko pod skwarem Islamu. Upadek Rzymu pod parciem ludów północy sprowadził znów przyćmienie kultury na południu Europy, by dać dopiero w przyszłości możliwość tymże barbarzyńcom na wzorach z ruin poczerpniętych swoje cywilizacje fundować.

Słońce „roku wielkiego“ pobudzało więc do rozkwitu jedne krainy, by poprzednie w mroku ciemnoty pogrążyć. Ani Mahomet z całym szeregiem następców, ani Wandal, ani różni Goci, ani Hunnowie i Madziarzy, idąc na podboje, nie wiedzieli, że *spełniają prawo natury*, że ich czyny oddawna w zasadzie były postanowione, jednym słowem, że świat cały ulega woli Wielkiej którą na każdym miejscu odkrywamy, wielbimy i korzystamy się przed Mocą niezbadaną.

IX.

Nieco z meteorologii. — Piec Europy. — Zapasy działwy Boreasza.

Gdym wyjeżdżał przy końcu stycznia z Warszawy*), by szukać ciepła i słońca, nienaturalna, niezwykle ciepła zima ówczesna napędziła mi sporo obawy.

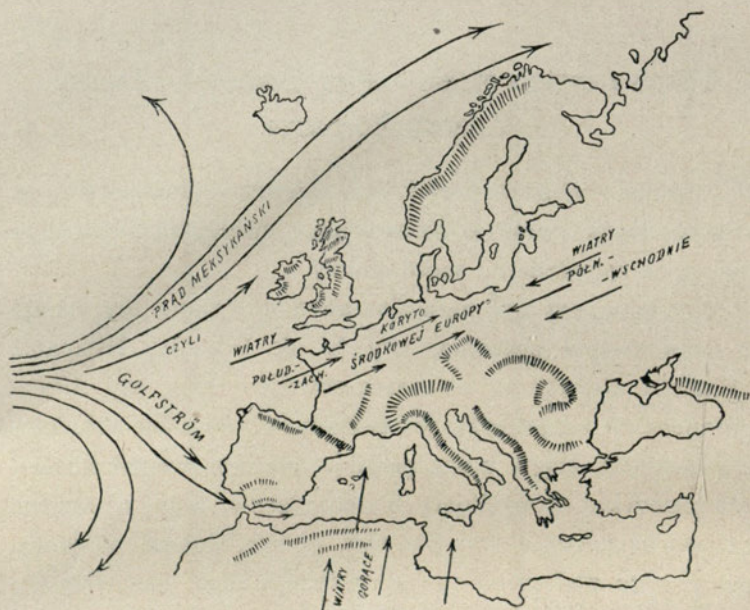
Pytania, czy kraj nasz nie otrzymał w zimie zbyt ciepła z ujmą krajów południa, czy to nie Włochy, Hiszpania i Francya złożyły się na nasze odwilże i błota, czy Afryka północna nie uczestniczy w tej zmowie, czy wiatr południowo-zachodni, ciągle u nas panując, nie zaprowadził gdzieindziej zaburzeń, powodujących ochłodzenie, jednym słowem, czy uciekając przed zimą krajową, polską, dobrze mi znaną, nie wpadnę pod niebo rozkapryszone a obce, nasuwały się nieustannie.

Z poczuciem też nieufności w słońce południa jechałem ku Francyi, by poczuć chociaż podmuch wiosny, choć jakie takie podwyższenie temperatury. Nie tylko jednak zima tegoroczna, lecz i chwila opuszczenia Warszawy była nienormalną. Podczas gdy wyjazd odbył się przy temperaturze wyżej zera, już zaraz potem się ochłodziło, a w Paryżu zasko-

*) 1902 r.

czyła nas zmiana, dająca obserwować francuzów skulonych pod mroźnym wiatrem północy, nie mogących się z tem oswoić, że 30-go stycznia w piecu palić należy.

Mróz chwycił kilkustopniowy, zmuszając coprędzej do ucieczki na południe, do brzegów Afryki, jako jedynego medium na zimno Paryża.



Szkic prądu Meksykańskiego w połączeniu z wiatrami europejskimi.

Zmarźnięte, skostniałe ciało zażądało jednakże od myśli wyjaśnień, dlaczego tak, a nie inaczej tej zimy na świecie się dzieje, czemu nawet szerokość geograficzna nie decyduje o temperaturze, czemu kapryśne wiatry tak wielkie w meteorologii mają znaczenie?

Pociąg mknął już całą siłą pary, najszybszą francuską

koleją Paris-Lyon-Mediterranée, pośród pól pokrytych śniegiem, biegł wśród gór Francji południowej jeszcze więcej po zimowemu wyglądających, wychylił się wreszcie na ich południową stronę i, dojeżdżając do Marsylii, wyprowadził wprawdzie z mrozu, ale otoczył pluskiem deszczu naszą marcową pogodę przypominającym.

To też ciało, smagane wiatrem bezlitośnym, doczekało się nareszcie od myśli uznania swych pytań za dość aktualne, by na nie odpowiedzieć.

*

*

*

Nietylko odległość od bieguna decyduje o temperaturze kraju, nietylko wiatry na zmianę wpływają, ale, bodaj najważniejsza, skąd one pochodzą i jakie przeszkody w postaci gór spotykają.

Południowy, palący, pustynny „sirocco“, przechodząc nad morzem Śródziemnym, ogrzewa i darzy ciepłem Riwierę i Włochy, nie będąc u nas znanym z powodu całego skupienia gór środkowo-europejskich zaczynających się u nas Pirenejami i Alpami a kończących Karpatami. Też same jednak góry, tworząc ścianę północną dla wiatrów gorących, są bokiem koryta równin północno-europejskich otwartych dla wiatrów zachodnich, od Atlantyku idących. U ich początku nie ma wprawdzie gorącej pustyni, jest jednak ciepły prąd morski, ów Golfström, przez wszystkie elementarne geografie opisywany, a od Meksyku idący.

Pedagogowie silą się wpoić w umysły młodociane znaczenie tego prądu, rzadko ciesząc się dobrem zrozumieniem wykładu, bo cóż mogą malców obchodzić jakieś odległe prądy oceaniczne, o których dobrego niemożna sobie wyrobić poję-

cia, traktując je (poniekąd słusznie) jako pojęcia oderwane nieuchwytnie, nic wspólnego z życiem codziennem nie mające.

A jednak gdyby nie ten Golfström, w Europie mielibyśmy klimat Syberyi, gdyby nie jego ciepło, Europa byłaby, jak pokój nieopalony, w którym wysiedziećby trudno. To cudowne, a jednak naturalne, ogrzewanie przypomina dzisiejsze kaloryfery, dostarczające powietrza nie tylko ogrzanego, ale i odpowiednio zwilżonego; ten piec Europy chroni od zimna, jakie z tytułu geograficznej szerokości byłoby jej udziałem, Orenburg bowiem i Irkuck, a nawet północny Sachalin leżą na jednej szerokości geograficznej z Warszawą.

Powietrze, czem gorętsze, tem więcej w sobie rozpuszcza niedostrzegalnie pary, wydzielając ją z powrotem przy ochłodzeniu. Tem się tłumaczy, że widzimy w zimie swój wilgotny oddech w postaci pary z ust wychodzący, podczas gdy w lecie go nie widać; otworzone nagle na mrozie drzwi palni kłębamii pary buchają, a ciepła fontanna w zimie puszczone otula się obłokiem mgły.

To też Golfström, niosąc od równika gorące swe wody, obmywa brzegi Francyi, Anglii, Norwegii, by je otulić mgłą wilgotną, chroniąc niby płaszczem od zimna. Masy wydzielanej pary tworzą wielkie chmury, chwywane wiatrami i roznoszone po równinach Europy. Południowa, pirenejsko-alpejsko-karpacka ściana koryta wyznacza tym wiatrom kierunek. Mamy więc u siebie przeważnie wiatry południowo-zachodnie, idące od Francyi, a więc od ciepłego prądu, przynoszące nam przeważnie dżdżystą pogodę, bo nad Golfströmem muszą się koniecznie tworzyć obłoki. Północ i wschód dostarczają nam tylko suchych i zimnych wiatrów, bo tam chmury tworzyć się nie mogą.

Cała jednakże Riwiera, całe Włochy i północno-zachodnia Afryka pod pośrednim tylko wpływem Golfströmu pozostają. O klimacie tych krajów dycydują góry Alp środkowych i nadmorskich wraz z Pirenejami, niedopuszczające chmur wytworzonych od Gelfströmu a więc niepozwalające nawilżyć powietrza. Góry te jednocześnie zatrzymują i odbijają skwarne wiatry południowe, nadmiernie ogrzewające ubogą w chmury atmosferę południowych pobrzeży Europy.

Mamy więc 3 europejskie wiatry stale na różne jej części wpływ wywierające:

- 1) wilgotny, od Golfströmu,
- 2) lądowy północno-wschodni, i
- 3) afrykański „sirocco“.

Trzej ci gospodarze powietrzni rządzą pogodą, zgodnie sobie sfery działania zakreślając i darząc nas kolejno, to ciepłem, to deszczem, to mrozem lub śniegiem.

Jeżeli jednakże trudno o zgodę wśród dobranej pary, to cóż się dzieć może, gdy trzech kapryśnych sąsiadów się pokłóci (ku jednemu punktowi podmuchy swe kierując).

Na szczytach Alpejskich, na górzystych półwyspach południa Europy, jako na swych naturalnych granicach, trzej groźni zapaśnicy chwytają się za bary, rozpoczynając taniec tytanów. Walka zaczęta na szczytach gór roznosi się to tu, to tam ponad Europą.

Chmury, miotane w zapasach potężnych, niepewne swej drogi, jedyną ucieczkę na ziemi znajdując, zraszając ją deszczem lub śniegiem.

Gdy pod silnemi podmuchami 3-ch przeciwnych wiatrów, rozbite chmury już znikły i w czasie mokrej zimy na ziemi opaść musiały, zabrakło zapaśnikom zapory; wiatry bezpośrednio się zwały, kłębiły i wyły, rycząc głosem tak czę-



stych przy końcu lutego burz i huraganów ponad wystraszo-
nemi głowami żeglarzów. Burze były nad morzem Śródziem-



Alger. — Ulica w dzielnicy arabskiej.

nem i nad kanałem La Manche, a deszcze, zamiast mrozów,
zraszały całą Europę środkową.

Wśród każdych zapasów ktoś zwyciężać musi, tym ra-
zem (w r. 1902) zwycięzcą były wiatry południa i zachodu,

a zwyciężonym wiatr północno-wschodni, stąd mokra zima Europy środkowej, stąd ciepło i niezwykle wysoka średnia temperatura zimowa. Pomimo jednak ostatecznego rezultatu zwycięstwa i zwyciężonemu błyska nieraz chwila szczęśliwa i on zadaje chwilowe porażki i on pokazuje swą siłę. W walce zjadłej wiatr wschodni, a mroźny musiał też nieraz zapuścić rozpędzone zagony aż do Francyi, chcąc pokazać swą siłę, skąd jednak sromotnie i prędko cofać się musiał.

Oto dlaczego, gdy Paryż zamarzał chwilowo pod lodem, gdy Warszawa zimy nie miała, Marsylia tonęła w powodzi i błocie, a Algerya, zasilana wiatrem południa, cieszyła się majową pogodą.

X.

Maurowie. — Ich strój, mieszkanie i przyszłość.

Jesteśmy w Algeryi, bądź co bądź w kraju odwiecznie muzułmańskim (od 12-tu wieków), tem więcej mającym do tej nazwy prawo, że ludność chrześcijańska stanowi tu dopiero 10-tą część całości a tylko wyższością cywilizacyjną i siłą militarną nadaje ton krajowi.

Czy tak będzie zawsze—rzecz wątpliwa, bo kolonizacya europejska idzie szybko i ma wszelkie widoki rozwoju.

Muzułmańską jest obecnie Algerya i dla tego, że przytyka z jednej strony do Tunisu, zaledwie od lat 20-tu pozostającego *pod protektoratem* francuzów, a z drugiej strony do Marokka, sułtanatu zupełnie niepodległego.

Jakem wyżej wspomniał, ludność tutejsza muzułmańska rozpada się na kilka grup, a nawet narodowości, z których odróżniamy wybitniej: maura, araba - rolnika i kabyła.

Kabył, przy rozpatrywaniu kraju ze strony religijnej, muzułmańskiej, nie może być prawie brany jako czynnik w rachubę, bo to najstarszy tutejszy krajowiec, tak dobrze przed dwunastu wiekami przez najazd arabski, jak dzisiaj przez francuski, pozbawiony władzy. Islam *nie* przeniknął weń głęboko, bo był zawsze religią najeźdźców. Przyjęty został, bo inne

konkurencyjnej religii nie było, a łączył się przytem zawsze z siłą jaką w onczas arabowie władali. Pomimo jednak Islamu, kabył nie stracił nawet dotąd swego pra-starego języka.

Maurowie i arabowie-wieśniacy, to rasowo, a może językowo jeden naród, pierwsi jednakże stanowili od wieków inteligencyę, mieszczaństwo i arystokrację arabską. Maurowie to dzierżyli władzę i handel w swych rękach, oni, będąc najgorliwszemi wyznawcami Proroka rządili krajem i oni jedynie powinni zdać rachunek z dwunastowiekowej gospodarki. O ile arab biało ubrany (wieśniak) stanowi typ sympatyczny, o tyle maur ma w sobie coś ujemnego, co przypomina greka-handlarza lub żyda.

Strój jego, to ubiór sfer inteligentnych lub bogatych całego świata mahometańskiego, bo turban lub fez, szpencer mniej więcej bogato wyszywany, kolorowe szarawary zakończone pończochami i pantofle, a na ramieniu zarzucony burnus, widzi się zarówno w Algerze, Marokku, Konstantynopolu, Kairze, Jerozolimie lub Mekce. Jestto ubiór kosmopolityczny Islamu, tak dobrze, jak kosmopolitycznym jest nasz strój europejski przyjęty przez cały świat chrześcijański.

Ten związek religii z ubiorem nawet po pewnem zastanowieniu się, dziwnem się wydaje i nasuwa pytanie dlaczego istnieje w ubiorze taka zależność od religii, która przecież ani chrześcijanom ani muzułmanom żadnych specjalnych form nie narzuca.

Pomimo mniej sympatycznych cech wewnętrznych, Maur jest strojnym w swym malowniczym różnokolorowym ubiorze, o wiele estetyczniejszym i praktyczniejszym od naszego. — Pod względem zewnętrznej piękności, to i mieszkanie arabskie w Algerze lepiej się od europejskiego przedstawia.

Domy zamożne maurytańsko-arabskie, wzorowane są

z pewną wewnątrz odmianą na budowlach staro-rzymskich. Nie omylimy się, jeżeli twierdzić będziemy, że arabowie od rzymian wprost nauczyli się mieszkać, przystosowując tylko klasyczne budowle do swoich wymagań.

Rzymskie „atrium“ podniosło się na 2 i 3 piętra, tworząc wewnątrz murów otwarte, lub często oszklone z góry podwórko, podparte kolumnami i łukami swoistemi, które zwieemy „maurytańskimi“; na każdym piętrze formują się więc galerye, mające drzwi do osobnych izdebek, rzekłbyś, rzymskich „cubiculów“. Podniesienie budowli na kilka pięter ograniczyło dopływ światła przez drzwi galeryowe i zmusiło do robienia otworów w ścianach zewnętrznych, czego rzymianie nie znali, jednakże te otwory ostrożnie się robią i są małe, jakby z obawy by za dużo światła nie wpuścić i nienaruszyć zbytnio swego bezokiennego rzymskiego prototypu.

Ponad całym gmachem rozciągnięto zamiast dachu taras płaski, na którym powietrza i wiatru można używać do woli. Cały dom arabski osobno, w ogrodzie lub w polu, postawiony, robi wrażenie wielkiej białej kostki, bardzo przypominającej więzienie z powodu małych i silnie zakratowanych okien.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że prawdopodobnie, za czasów rzymskich klimat był chłodniejszym i że arabowie zapawali szczególnie w pasie północnym Afryki, to zdaje mi się, nie mylę się twierdząc, że zmiany, jakie arabowie w budowlach rzymskich wprowadzili pochodziły wprost z odmiennych warunków klimatycznych i religijnych: dom kilkopiętrowy więcej od żaru słońca zabezpieczał, płaski taras mógł istnieć tylko w krajach o małych opadach atmosferycznych, a małe okienka wraz z koncentracją życia wewnątrz domu i haremu, ściśle odpowiadały wymogom religii.

Powracając do charakterystyki Maurów właściwych, za-

znaczyć należy, że oni to, a nie arabowie rolnicy, będąc despotycznymi panami kraju, zachcieli również panować i morzu, oni organizowali łupieskie wyprawy, oni sprowadzali z Suda-



Alger. — Ulica w dzielnicy arabskiej.

nu zakutyh w łańcuchy murzynów, oni to wreszcie nieśli wysoko sztandar z półksiężcem, urągając ludzkiej godności kobiecej, spychając ją niemal do rzędu zwierząt domowych.

Wiadomo, że najszlachetniejsze narody, przebywając długo w niewoli *podlegą*, zmuszone koniecznością, dla samoobrony, chwytania się środków niezgodnych z poczuciem uczciwości. Maurowie, nie będąc nigdy wielkimi i szlachetnymi, pomimo kilkakrotnych powstań, już dzisiaj, zaledwie po latach 70-ciu, potrafili dojść do tego stopnia upadku, że wyzysk cudzoziemca na każdym kroku uważają sobie za czyn normalny.

Ztąd też pochodzi, że wszelkie bliższe zetknięcie się z tymi pseudo-cywilizowanymi ludźmi, zawsze musi być czynione z bacznością, by nie być albo oszukanym, albo ograbionym. Jedynie strach przed policją francuską i wojskiem każe im udawać uczciwych.

To też rola ich polityczna już się skończyła. Stracili siłę i przemoc, a obecnie pozostało im tylko stanowisko handlowe, a nawet tylko kramarskie.

Nie posiadając ani wyższej inteligencji, ani ideałów, nieposiadając wreszcie *uświadomionej kobiety*, uświadomionej matki-wychowawczyni, pomimo separatystycznej religii, będą upadać coraz niżej i powoli, przyjmując chrystyanizm, zjednoczą się z żywiołem napływowym, tworząc Nową Francję.

Alger d. 20 lutego 1902 r.

XI.

Kolonizacya wobec krajowców. — Trzy sposoby gdzieindziej praktykowane. — Jak chcą postępować Francuzi.

W poprzednich rozdziałach wspominałem o kolonizacyi francuskiej i o jej przyszłości. Dzisiaj, po lepszem rozpatrzeniu się w stosunkach kwestya ta znów mi się pod pióro nasuwa, jako bardzo aktualna i interesująca.

Przedewszystkiem popełniłem błąd twierdząc, że rząd francuski nie daje więcej ziemi bezpłatnie kolonistom. Daje ją do dzisiaj, ale w głębi kraju, w górach, w Kabylii, w klimacie Francję przypominającym, daje wreszcie wyłącznie europejczykom, lub tym z krajowców, którzy odpowiednią ilość lat w wojsku przesłużyli.

Jestto bez wątpienia pewna względem krajowców niesprawiedliwość, jeżeli jednak popatrzymy na całe masy arabów, porozkładanych gdziekolwiek przy drodze, wylegających się beczynninie wśród dnia białego, lub, gdy się widzi około jednego araba, zajętego kopaniem swego gruntu, 3-ch lub 4-ch zabawiających go rozmową, gdy to jest wreszcie rzeczą zwykłą, codzienną, na każdym kroku spotykaną, to uwierzyć trzeba, że fatalistyczna religia zrobiła z nich takich leniuchów, którym ziemi na zmarnowanie „darmo“ doprawdy dawać nie można;

przecież tu chodzi o rozwój kraju, do którego ciągle, nawet po latach 70-ciu rząd, rok rocznie, po kilkadziesiąt milionów dokłada.

Niejednokrotnie słyszeć się dają głosy ludzi nie szeroko na sprawy ekonomiczne krajów patrzących, którzy krytykują kolonizację państw europejskich, szczególniejszy nacisk kładąc na to, że do tych kolonii potrzeba dokładać.

Tak jest, dokładają i dokładać do czasu powinni; to dowodzi, że kraju nie eksploatują, lecz go kulturalnie rozwijają.

Krytyka domorośłych ekonomistów wydaje się podobną do podziwu prostaczków nad tem, że „panowie“ swoje dzieci tak kosztownie edukują, wkładając nieraz w ich wykształcenie tysiące, kiedy i bez tego ludzie żyją, jak niezliczone w koło mamy tego przykłady. A jednak owa „edukacja“ w prywatnem życiu rodziny wyprowadza ich dzieci na ludzi wybitne w świecie stanowiska zajmujących, podczas gdy „nieuczeni“ zostają ich sługami.

Toż samo dzieje się w mądrej polityce ekonomicznej państwa każdego.

Kolonie, to jego dzieci, to, przy nadmiernym przyroście ludności, jego klapy bezpieczeństwa, uwalniające od prze-ludnienia, zabierające wszelkie charaktery niespokojne, zdolne w domu zakłócić porządek. Porzucone na obcej ziemi bez nakładów, bez owej „edukacji“, zmarniałyby, lub zajęły w świecie stanowisko podrzędne (pozycyi ludzi ciemnych odpowiadające); zraszone obficie kapitałem, idącym z metropolii, z czasem go potrzebować przestaną, natomiast staną się źródłem bogactw do tejże metropolii odpływających. Wszelka kultura ma to do siebie, że potrzebuje nakładów, które potem z lichwą powraca.

Na gruncie algerskim już obecnie są szkoły wyższe dla ludności miejscowej, już są uczeni miejscowi, już są nawet Towarzystwa naukowe, jak Geograficzne i inne; na posiedzeniach Towarzystw ludność zaczyna myśleć i działać.

Ciekawe są odczyty w owych Zgromadzeniach wygłaszane. Dnia 23 lutego r. b. pan Demontès skonstatował, na



Alger. — Aleja kauczukowa w ogrodzie doświadczalnym.
(Jardin d'Essais).

zasadzie cyfr statystycznych zbieranych w ciągu lat 50-ciu na samych francuzach, że rozmnażanie się w Algeryi przewyższa przyrost nie tylko Francyi, lecz przeciętny europejski, co potwierdza moje poglądy wypowiedziane w rozdziale VII-m, a obala wszelkie twierdzenia, jakoby Europejczykom wogóle klimat tutejszy nie służył.

Dlaczegoż by zresztą inaczej być miało. Tutejsze pola i winnice pod ciepłym tchnieniem słońca afrykańskiego tworzą krajobraz pełen barw i woni, cichy a uroczy, jakby zapraszający, do pracy na swem wdzięcznym łonie. Wartość ziemi w okolicy samego miasta Algeru dochodzi do cen bardzo wysokich; dość powiedzieć, że jeden hektar ceni się około 1000 franków, co odpowiada około 8000 rubli za włókę. A istnieją majątności duże po kilkaset hektarów obejmujące, ozdobione pańską prawdziwie rezydencją, rzuconą wśród egzotycznej zieleni na pochyłości wzgórza w postaci maurytańskiego pałacu.

Do kwitnącego stanu doszły jednak kolonie, dzięki wysokiej kulturze i kapitałom rzuconym niby na zatracenie, które stworzyły to, iż niema literalnie w okolicy Algeru ani jednej wioski, któraby nie była połączona z miastem nie tylko równą jak stół szosą, ale jeszcze stałą po tej szosie komunikacją omnibusową, dającą możność tanio i szybko zawsze ze stolicą się skomunikować, a wszędzie i zawsze szkoła i merostwo napewno się znajdują.

Kwestye kolonizacyjno-ekonomiczne stoją też ciągle na porządku dziennym pogadanek publicznych, a nieraz wypowiedane są myśli godne zanotowania.

Społeczeństwo francuskie, bądź co bądź, liberalne, otwarcie nieraz dyskutuje jak im się należy zachować wobec ludności krajowej, starając się dojść do praktycznych, a zgodnych z szumnemi hasłami „égalité” — „fraternité” rezultatów.

W tych dniach pan de Galland postawił sobie podobny problemat w odczycie wypowiedzianym publicznie w sali odczytów na przedmieściu Mustafa.

„Trzy są rodzaje traktowania krajowców podbitych” — konkludował mówca — „dotąd praktycznie wykonywane:

1) przez *wytopienie*, jak to ma miejsce w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej,

2) przez *wyeksplotowanie*, jak to ma miejsce w Indiach angielskich i holenderskich,



Alger. — Aleja bambusowa w ogrodzie doświadczalnym.

3) przez *assymilację*, pojętą w sposób zmieszania się ludności przez małżeństwa, jak to jest w hiszpańskich krajach Ameryki Południowej“.

„My nie potrzebujemy się do takich środków ucie-

kać—powiada dalej pan de Gelland — powinniśmy tylko krajowców *wykształcać*, na podstawie ich zwyczajów, obyczajów i religii, krótko mówiąc, powinniśmy ich *cywilizować*“.

Koniec końców arabowie nie dadzą się ucywilizować (to jest moje zdanie). Nie można jednak nic francuzom zarzucić, są bowiem liberalni, żadnego nacisku na ludność miejscową nie wywierają, pozwalając im korzystać ze wszystkiego co do kraju wnoszą, nic wzamian nie żądając.

Z okna wagonu kolei afrykańskiej. — Kraj pozornie bezludny. — Arabowie wiejscy. — Ich siedziby.

Kolej, chociaż afrykańska, to zawsze tylko kolej żelazna, a jeżeli znajduje się w rękach francuzów, to napewno licha, na tym bowiem polu dali się wyprzedzić innym narodom nawet w Europie. Taką też jest linia łącząca miasto Alger z Oranem.

Cała Algerya to kraj górzysty, dla kolei więc wybierają kierunki określone biegiem, lub kierunkiem dolin rzuconych pomiędzy łańcuchami gór.

Tuż po za przedmieściem Aga i Mustafa wjeżdżamy na równinę Metidży, niezbyt wielką, ale mogącą prawdziwie zwać się „ziemią obiecaną“. Winnicą za winnicą, a każda to ogród prawie okiem nieprzejrzany, rzadziej pomarańczarnia o tej porze (koniec lutego) jeszcze owocem ubarwiona, jeszcze rzadziej widzi się banany, a palmy daktylowe i kokosowe, drzewa migdałowe i inne owocowe stanowią ozdoby ogrodów, otaczających ludzkie siedziby.

Na skutek masy winnic, wino doszło do bajecznie niskiej ceny 10-ciu centimów ($3\frac{3}{4}$ kop.) za litr; koloniści na to utyskują, fermy ich jednak, otoczone ładnymi ogródkami, przeczą

biadaniom i każą raczej przypuszczać, że człowiek wszędzie i zawsze na „złe czasy“ narzeka i narzekać będzie.

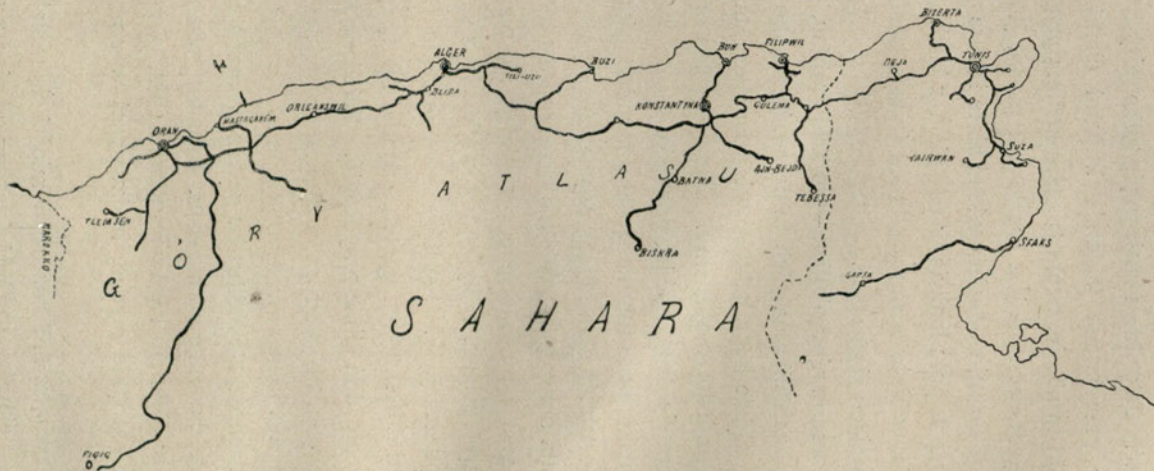
Wjeżdżamy w góry—winnice rzedną—krajobraz staje się odmienny. Od rzadka, tu i owdzie, widać rzucone na polach, przy drogach drzewa, przypominające dzikie grusze. Aż oko się raduje tak mile i swojsko w oko wpadają, ale to nie grusze, lecz drzewo chleba świętojańskiego, płodzące owe wielkie czarne strąki, tak bardzo przez nasze dzieci lubiane; pośród drzew tutejszych bodaj one najmiłsze, wiecznie zielone, o listkach pierzastych, niby akacyowych, lecz twardych i błyszczących.

I te widoki powoli znikają, a przed nami otwierają się paszcze tunelów, mających nas przeprowadzić pośród dzikich mało zazielenionych skał w dolinę rzeki Ued-Szelif, ciągnącą się pomiędzy dwoma gór łańcuchami aż do Oranu.

Dolina rzeki Ued-Szelif, to już kraj wcale odmienny — wierzyć się nawet niechce, że to jest Algerya, owa bogata „mlekiem i miodem“ płynąca Algerya.

Okolice wprawdzie piękna, zielona, wzgórza łagodnie w powolnych stopniowaniach piętrzą się jedne nad drugimi, ziemia zdaje się być żyzną,—ale jakże pusto... Widząc taki krajobraz, przywykliśmy go w Europie oglądać usianym ludzkimi siedzibami: tu powinny być ogrody, tam powinien wizerać kościółek malutki, tam znów potrzebny do całości wężyk drogi wijącej się ku górze, a wszędzie kępy drzew, szachownice pól, lub coś podobnego... Nic tu z takich mirażów, góry są zielone, ale puste, jakiś kraj zapomniany czekający przez pracę i kulturę nowego odrodzenia...

Jedyne urozmaicenie widoku, to kępy kaktusów i agawy (aloesów), niby płoty, tu i owdzie rozrzucone. Przyglądając się bliżej, spostrzegamy ziemię niby uprawną, a raczej podra-



Mapka sieci kolei żelaznych w krajach Atlasu.

paną, na której, coś wyrasta, ani jednego wszakże drzewa nie widać. Jak okiem zasięgnąć, tylko góry i wzgórza, tylko kaktusy przeplatane jakimiś kupami cierni wyschniętych w oddali i to niknie, tworząc szaro-zieloną pustynię.

A jednak tu nie jest wcale tak pusto, jak się na pozór wydaje. To tu, to owdzie widać białe i szare punkciki, posuwające się w polu leniwie w oddali, a z bliska, punkciki — to arabowie w białe burnusy odziani i stada bydła lub owiec na pochyłościach się pasące.

Bezludna niby okolica — to kraj arabów, ich ręką uprawiany... i zaniedbany. Ich tu pełno, lecz tylko dla oka niewidzialni. Gdzie kępa kaktusów i kupa cierni, tam z pewnością siedzibę arabską znajdziemy. Niewymyślna ona i prosta, bo klimat prawie dziko żyć im pozwala.

Wielkie koło lub niezgrabny kwadrat z kaktusów formuje żywy ostrokół, stanowiący zewnętrzną ochronę „zagrody”. — Znakomita ochrona! — Wielkie krzaki na 10 łokci w górę wyciągają swe łapy kolczaste, przeplatają się wzajemnie i tworzą zwartą ścianę, nietylko człowieka, lecz żadnego będlęcia nieprzepuszczającą. Szerokie owalne liście mięsiste, usiane tysiącami drobniutkich igiełek, czatują na każdy obcy przedmiot, by się doń silnie przyczepić. Zaledwie kilka szpileczek kaktusowych, utkwionych w skórze człowieka, daje wrażenie silnego przez jakieś owady pokąsania.

Obecność też kaktusów zawsze o arabach świadczy, bo taki płot, chroniąc od najazdu, daje im jednocześnie śliczną ozdobę w pięknym pąsowem ukwieceniu, a potem soczyste, smaczne i słodkie owoce, nadzwyczaj w porze letniej chłodzące.

Wewnątrz linii kaktusów mieści się mniejsze ogrodzenie z suchego ciernia, płot bodaj lepszy od pierwszego, kolczasty

i zupełnie nieprzenikliwy, bo cierń tutejszy ma kolce dochodzące do 4-ch cali długości, mocne i twarde, a bardzo ostro zakończone.

Po za drugim ogrodzeniem dopiero arab mieszkanie sobie uścięła, również niewymyślne, raczej nędznym szałasem mogące być nazwane. Kupa gałęzi przykryta nędznym dachem z chrustu stanowi chatę właściciela, jego miejsce wypoczynku i rozkoszy, jego harem składający się z 2-ch lub 3-ch żon, jego pokój dziecinny i stołowy, wreszcie niekiedy pracownię ręczną dywanów, wyrabianych na sprzedaż.

W podobnych paru innych kupach gałęzi mieści swój żywy dobytek bliżej domostwa i pod okiem gospodarza pozostawać mający. Nędzne mieszkanie ściśle odpowiada potrzebom araba, który, można rzec śmiało, w pół dzikim stanie życie swoje zamyka.

Poznawszy życie mieszkańców, nie dziw, że nic nie widzimy na górach zielonych, pomimo ich zaludnienia. Czyż można odróżnić zdaleka kępy kaktusów i kupy chrustu lub ciernia od otoczenia? Wszystko musi niknąć dla oka i tworzyć pustkę nużącą. Kaktusy i ciernie bardzo dobrze zastępują zakratowanie okien miejskich haremów — ziemia, zaledwo poruszona, daje plon dla nędznego wyżywienia dostateczny, nawet szparagi rosną dziko po górach — czegóż więcej arabowi potrzeba?... Domy przyzwoite, drzewa i drogi — to wymysł cywilizacyi — zbyteczny — bo arab się od wieków bez tego obchodzi.

A jednak na tych gruntach wszystkoby inaczej mogło wyglądać, gdzie tylko bowiem osiądzie francuski kolonista, tam wyrasta oaza zieleni, tam ziemia ogród wydaje, tam się ukazują drzewa i palmy, tam wreszcie wkrótce powstaje win-

nica, jako kwiat i okrasa plonów, a obok sieje się owies i jęczmień, uprawia kartofle i bujne jarzyny.

Nad drzemiącemi, półdzikimi krajami arabów przelatuje już dzisiaj groźna bogini „cywilizacya“, żądając rachunku z pracy wielowiekowej. Widzi zaniedbanie i zmarnowanie darów przyrody, więc straszna, nieubłagana a potężna wydaje już dla starego porządku rzeczy wyrok... „zagłada“ i gorącym oddechem powołuje do innego, nowego życia zaczarowane krainy.

XIII.

Oran. — Bogactwo Algeryi. — Meduzy. — Forteca hiszpańska wśród arabów.

Stutysięczne miasto Oran, stolica departamentu zachodniego Algeryi, jakkolwiek rzucone na ziemi afrykańskiej, różni się wielce od Algeru. Trzechsetletnie posiadanie miasta przez Hiszpanów (od 1509 roku do 1792), jakkolwiek głównie w celach wojennych i obrony przeciw korsarstwu, wycisnęło wszakże tutaj swe piętno. Chociaż przy końcu wieku XVIII-go arabowie odebrali Oran Hiszpanom i posiadali go aż do okupacji francuskiej (1830 r.), nie zdołali ani swoim elementem zaludnić, ani nawet wiele odmienić. Do dzisiaj hiszpanie stanowią większość mieszkańców, a arabów mało co i widać — wygląd zresztą zewnętrzny i język publiczny są wyłącznie francuskie.

Wysokie drzegi Afryki dają zawsze warunki bardzo dodatnie dla piękności miasta, położenie przeto amfiteatralne, ponad wygodnym portem, tworzy wspaniałą panoramę, nad którą góruje wyniosła skała Santa-Cruz ozdobiona fortyfikacyami i kapliczką.

Samo miasto zupełnie prawie szablonowe, europejskie, a styl maurytański znalazł jedynie wyraz we wspaniałych gmachach koszar obecnie się budujących.

Bliskość Marokka czyni z Oranu strategiczny punkt pierwszorzędny, wymagający znacznej wojskowej załogi, która jednakże, zamiast zwykłych pomieszczeń żołnierskich, będzie posiadać pałace.

Już sam ogrom koszar, rozbitych na 3 oddzielne kolosalne gmachy, zadziwia, cóż dopiero, jeżeli stanowią one pomniki sztuki architektonicznej w stylu maurytańskim. Każdy



Alger. — Jukki drzewiaste w ogrodzie doświadczalnym.

z gmachów obwiedziono dwupiętrowymi krużgankami, wspartymi na smukłych filarach, połączonych śliczną linią łuków arabskich. Gmachy wielkie i z natury ciężkie jakże lekką przybierają tu postać: maurytańskie półcyrkle lekko zaostrome wraz z szeregiem kolumn tworzą dwa rzędy koronki, a wszystko bieli się w słońcu i uplastycznia każde zgrabne zagięcie.

W takich warunkach, jadąc „dyszlem rzemiennym“, 300 kilometrów zajmie $3\frac{1}{2}$ doby, a trzeba się z tem godzić, bo innej drogi do Marokka niema.

O ile pogoda dopisuje, dosyć jest czasu do rozmyślenia nad tem co się widzi. Zato gdy wiatr silniej zawieje, gdy fale się wznoszą, kraszac grzbiety białemi kitami, gdy pokład



Alger. — Pałac letni gubernatora w stylu maurytańskim.

chwieje się pod nogami, gdy wreszcie kajutka do której się chronisz kołysze się niemiłosiernie, uciekasz co prędzej do ciasnego łóżka, by czas niemiły przepędzić w pozycji możliwie najwygodniejszej i najpewniejszej.

Pierwsze przebudzenie się i ranek w Beni-Saf (jeszcze w Algeryi) nie były przyjemne. Deszcz z wiatrem zmieniły

klimat afrykański w naszą słotną wiosnę, przejmującą, pomimo ciepłego ubrania, chłodem porannym.

„Tell“ (nasz statek) zawinął do portu wcale przyzwoicie zbudowanego z wielką tamą rzuconą wprost w morze. Ponad portem, jak zresztą na całym wybrzeżu Afryki północno-zachodniej, skały i góry wysokie, a pośród nich przytulona kilkutysięczna wioseczka, zawdzięczająca istnienie swoje jedynie bogactwu wnętrza ziemi. Tuż nad brzegiem piętrzą się nasypy z kopalni rudy żelaznej na wielką skalę eksploatowanej.

Ruda z Beni-Saf, to próbka bogactw potrochu w Algierze odkrywanych; bajecznie obfita (zawiera 80% żelaza) dostarcza wielkich zysków kapitałom w to przedsiębiorstwo włożonym.

Cały ten port kopalnia zbudowała na swój użytek i swoim kosztem, a kto wie wiele takie budowle kosztują, ten pojmie ogrom przedsiębiorstwa.

Oprócz rudy żelaznej w wielu jeszcze miejscach kraju znajdującej, istnieją w Algeryi inne bogactwa mineralne, szczególnie rudy metali oraz węgiel brunatny. Rudy te, leżąc w głębi kraju, dla braku właściwego, czarnego węgla kamiennego, tak koniecznego dla rozwoju przemysłowego każdej krainy, dotąd nie są eksploatowane.

Jakże nie ma nęcić francuzów sąsiednie Marokko, posiadające bogate pokłady węgla kamiennego, rozumie się, dla niekulturalności kraju, nie eksploatowane.

Drugi ranek był piękny. Słońce, wynagradzając za wczoraj, roziskrzyło się po lekko sfałdowanej morskiej powierzchni, wyciągając pasażerów co rychlej na pokład.

Świat cały weselej wygląda, arabscy podróżni uśmiechnięci, chodzą w słońcu, majtkowie głośno krzątają się około

zwykłych rannych porządków, tragarze rażno wyciągają paki i worki z wewnątrz statku, windy warczą bezustannie, słowem cała przyroda zdaje się uśmiechnięta pod pocałunkami zorzy porannej.

Nietylko - człowiek wita gwiazdę złocistą. Tuż pod falą zlekka poruszaną widzimy jakieś ciała kształtów nieokreślonych, płachtę lub jakiś łachman rzucony do wody przypominające; twory zdaje się nieżywe, niby błędząc bezmyślnie, tuż pod statek podpływają; tu dopiero, szukając zapewne wyrzucanych odpadków, pokazują odwrotną stronę ciała swojego i poznajemy „meduzy“, podobne do grzyba olbrzymiego, o czapce wielkości dyni, o kilku ramionach, niby ssawkach, pod głową grzyba uwieszonych, wszystko półprzezroczyste, koloru nieco w cielisty wpadającego.

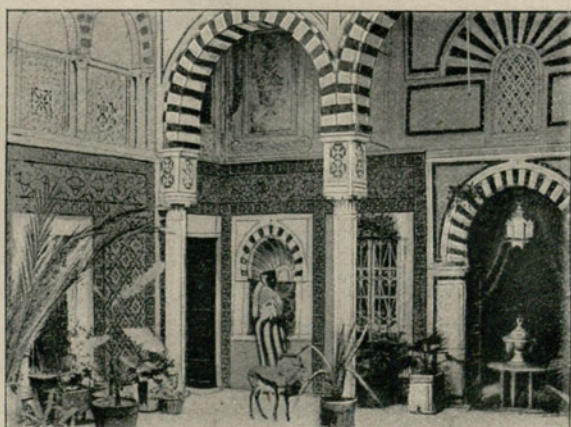
Zwierzę jamochłonne, podpłynęło pod statek, wywinęło poważnie kilka koziółków, wyciągnęło macki w tę i w ową stronę i zniknęło gdzieś w głębinie.

Przed nami piętrzą się białe mury Melilli i szczerzą swe paszcze armaty fortecy hiszpańskiej. Jesteśmy u wybrzeży marokkańskich, a jednak jeszcze nie pod władzą sułtana.

Pod opieką armat, otoczone sześcioma małemi bastyonami, wyrosło spore miasteczko (5000 mieszkańców) na skale, wnosząc część Europy na brzegi jeszcze niepodległej muzulmańskiej Afryki.

Ani morze, choć po pięknym poranku jeszcze mocno rokołysane, ani paszcze armat hiszpańskich, nie powstrzymały nas od lądowania i zwiedzenia miasta i fortecy tak odosobnionych i otoczonych innym, afrykańskim żywiołem.

Melilla to miasteczko kilkotysięczne, na wysokiej skale rzucone i obwiedzione groźnymi murami; czysto hiszpańskie, ma też i wygląd południowy o uliczkach wązkich i krętych, pnących się pod górę. Nic też mieszkańcy na tej skale nie mają, krom szerokiego widoku na morze i wewnętrznych uciech domowych. Pomimo to, miasteczko potrochu się rozwija, budując dolną dzielnicę nadbrzeżną, gdzie się odbywa



Alger. — Wnętrze domu prywatnego bogatego araba.

handel z arabami z Marokka przybyłymi. Na dole można też spotkać karawany wielbłądów, przywożące płody wnętrza kraju.

Pogoda, to kapryśna pani — niedała się długo rozkoszować swoim urokiem. Kiedyśmy z Melilli, nieposiadającej wcale portu powracali szalupą po spienionych falach, grzbiety ich groźnie zawisały nad przodem wątlej łupiny, by, ujarzmione ręką wiosłarzy, za chwilę znów nas wciągać w przepaścisty nurt roztwarty, zapraszając szalupę w morski taniec.

Można sobie wyobrazić, jakie było wsiadanie na schodki ze statku spuszczone. Kombinujące się ruchy statku, fali i łódki zmuszały do użycia całej zręczności, by suchą i całą nogą na pokład się wydostać. Gorzej było podróżnym arabom do Tangeru z Melilli się wybierającym. Natłoczeni na wąskiej łódeczce, rzucając niemiłosiernie, gnietli się otuleni w białe burnusy, pomagając sobie wrzaskiem charchotliwym przy wtórowaniu śmiechu osady łodzi hiszpańskiej, niedaleko się na fali bujającej.

A jakże ciężko idzie wyładowywanie towarów przy wzburzonej fali. Takie ciężary na równym niełatwo przemieścić, a barka przystawiona do boku statku wyprawia płasy niebywałe, grożąc zatopieniem lub zamoczeniem cukru i kartofli ze statku wyrzucanych. To dziób barki, to rudel pod winde podchodzą a tu do środka trafiać potrzeba...

Nareszcie wszystko załatwione, podnosimy, pomimo niepomyślnego wiatru kotwicę, by ją zarzucić dopiero w prawdziwym Marokku, u brzegów, gdzie naprawdę arab jest jeszcze panem, w starożytnym Tingisie, a w dzisiejszym Tangerze.

XIV.

Port Marokka. — Tanger. — Harem paszy. — Przyszłość. — Krzyk muezzina.

Całe państwo sułtana Abdul-Azisa, kraj wielkości Francyi, bogato uposażony od natury i niepodległy, nie mógł się dotąd zdobyć na wybudowanie portu. Statki przybywające do Tangeru, jedyne okna łączącego Marokko ze światem, muszą stawać zdaleka od brzegu, na kotwicy, bo podpłynąć bliżej niepodobna.

Uciekamy się z konieczności do środka tylokrotnie u brzegów Afryki uprawianego, do lądowania za pomocą łodzi, która dopływa do debarkaderu drewnianego (ława w rodzaju mostu wysunięta w morze).

Przed 4-ma laty i tego nie było, a podróżni musieli wysiadać z łódek na plecy murzynów podkasanych do pasa, by suchą nogą przez piaszczystą plażę na brzeg się dostać; wspinały ten środek lokomocyi można i dzisiaj ciągle oglądać, bo za używanie debarkaderu sułtan ściągą opłatę (25 cent.), co zmusza tuziemczą, oszczędniejszą ludność do stosowania dalej przedpotopowego, ale tańszego sposobu.

Debarkader, wyciągnięty na paręset metrów w morze, zaczyna się u bramy miejskiej, ufortyfikowanej i ubranej u góry w rodzaj galeryi, wspartej na wysokich łukach maurytańskich, a bronionej przez kilkadziesiąt armat na wierzchu niej ustawionych.

Przed bramą ścisk i tłok. Obok urzędników celnych, owiniętych w granatowe burnusy, siedzących w białych pończochach i żółtych pantoflach z podkulonemi nogami, uwija się tłum różnych arabskich obdartusów, przeciskających się z krzykiem, rozpychając łokciami.

Bardzo ciasna, zaledwie 8-mio łokciowa, brama i dalsza ulica nie tylko zapchane ludźmi, lecz jeszcze juczniemi mułami i osłami, obciążonemi wielkimi pakami, workami lub beczkami. Tędy idą wszystkie towary na grzbietach czworonogów, bo Tanger *nie zna wcale wozu ani lokomocyi kołowej*.

Na prawo i lewo od sławnego debarkaderu, rozciąga się wybrzeże płaskie (plaża), zapełnione różnemi łodziami na ląd powyciąganemi, nie brak poprostu rozmaitych gratów nieużytecznych; pośród łodzi, na piasku, znajdziesz wszystkie śmiecie, pomieszane z tem co morska fala przynosi. Wogóle, jedyny ten port Marokka, robi wrażenie śmietnika pełnego zaduchu i wrzasku.

Od portu główna ulica „Chrześcian“ pnie się w górę bezładnie obramowana w linjach łamanych domkami o płaskich dachach a wyglądzie półeuropejskim, bo jest zaludniona przez hiszpanów, stanowiących trzecią część mieszkańców Tangeru. Szerokości mniej niż nasza Ś-to Jańska, koncentruje jednak całe życie i handel 12-o tysięcznego miasta. Obok sklepów i sklepików najróżnorodniejszych spostrzeżasz kilka całkiem na ulicę otwartych, bez lady, zajętych przez postacie

poważne po turecku na ziemi usadowione i coś pilnie piszące. To rejenci arabscy spisujący akty małżeństwa, własności i t. p.

Dochodzimy nareszcie do placyku małego (największego jednak w mieście) Cokko zwanego, na którym rozłożyły się aż 4 poczty, ale cudzoziemskie. Poczta marokkańska istnieje tylko dla wnętrza kraju i to zaledwie w kilku oznaczonych ściśle kierunkach, a najgłówniej dla połączenia stolicy sułtana Fezu z Tangerem, gdzie się mieszczą ambasady wszelkich mocarstw europejskich, nie chcących narażać swoich przedstawicieli na życie w dzikiej stolicy w głębi kraju.

Marokko łączy się więc ze światem tylko przez pocztę angielską, hiszpańską, francuską i niemiecką, a dla siebie, wiele nie potrzebując, ma wielbłądy, osły, muły, które w karawanach wszystko po kraju na grzbietach poczciwie przenoszą.

Drogi wcale nie istnieją, bo przecież arabowi wystarcza ścieżka.

Oddalając się od ulicy „Chrześcian“, wchodzimy w uliczki coraz węższe, raczej do korytarzów podobne, w których balkony dwóch domów przeciwnych nieraz się stykają, tworząc kryte galerie, a lepiej, tunele. Zaduch i nieporządek posunięte do ostatnich granic, a uliczki bezładne, kręte i strome, brukowane najgorzej i usiane nieczystościami w każdym załomie.

W tym labiryńcie pniemy się w górę i dochodzimy do starej zrujnowanej fortecy arabskiej „Kasbą“ zwanej, rezydencji obecnego paszy-gubernatora prowincyi Haabat i jego haremu.

W starych murach Kasby można dopatrzeć lepszej przeszłości. Tu i owdzie zgrabny łuk maurytański zamigocze wśród ruin, ukazując z pod grubego pokładu wapna ślady starych arabesków; kilka filarów zręcznie połączonych tworzą znów jakiś przedsiomek dzisiaj na więzienie obrócony,

ogólne wreszcie zarysy bramy, wiodącej do apartamentu paszy, świadczą, że i Marokko miało niegdyś lepsze chwile. Obecnie wszakże cała Kasba sprawia wrażenie ruiny i nieładu.

Zakręcając w różne kąty, dochodzimy do haremu paszy, do owego przybytku, o którym wyrobiliśmy sobie pojęcie, jako o zaczarowanym pałacu, pełnym przepychu i woni, odurzających wzrok i powonienie tak pięknnością pomieszczenia, jak i osób w nim zamkniętych.

Jakkolwiek moje męskie oko niegodne było tych cudów oglądać, jednakże opisać je mogę z opowiadania mej żony, której wejścia niewzbroniono.

Już przedsionek niewiele obiecuje. W ciasnej krętej uliczce, tak brudnej jak inne, murzynka drzwi otwiera i wpuszcza do wnętrza. W maurytańskim atrium, obramowanem filarami, a typowem dla każdego arabskiego domu, siedzi kilka pań na dywanie o rysach wschodnich, mniej więcej ładnych i regularnych. Żadnej roboty przy nich nie widać, a więc próżnują, niezajęte nawet drobnymi robótkami. Natomiast jakaś starsza niewiasta, mianująca się matką paru obecnych, natarczywie dopomina się datku (zaglądając nieomal w kieszenie). Ani estetyki, ani przepychu, ani miłych wrażeń tu niema, krom widocznego upodlenia kobiety, dochodzącej nawet do tego, by od gości prawie żebrać jałmużny. A przecież był to harem *paszy* Tangeru, a nie zwykłego araba.

Pobył w Tangerze do przyjemnych nie należy. Przybywa się tu jedynie by popatrzeć na wolnych arabów, by ocenić ich zdolności do życia samodzielnego, by wreszcie wytłumaczyć sobie apetyt jaki Europa na to państewko okazuje. Ciekawość swoją trzeba jednakże przypłacić ciągłym, nerwy szarpiącym, natręctwem żebraków - kalek, wyzyskiem hotelarzy europejskich, wreszcie całą masą nieeste-

tyczny wrażeń i depresją ducha, jaka ogarnia myślącego widza, rzuconego do kraju nędzy, próżniactwa, upadku i brudu.

A przecież to kraj bogaty, żyzny, o glebie obficie deszczami zraszanej, kraj, gdzie pod złotymi promieniami słońca, wszystko rodzić się może, gdzie życie mlekiem i miodem płynąć powinno.

Wszystko to konstatując, jakkolwiek przeciwnik wszelkiego ujarznienia wolnych ludów, widzę, że apetyt Francyi co do Marokka jest usprawiedliwiony, a nawet cywilizacyjnie konieczny.

Stoi też ten kraj niepodległe tylko dzięki niezgodzie tych którzyby go chcieli zagarnąć, wewnątrz dojrzał do upadku zupełnie. Obok Francyi występuje Anglia, jako poważna pretendentka, z którą pierwsza liczyć się musi, a w chwili krytycznej i więcej chętnych się zgłosi. Niejedna już jednak taka sprawa drogą wzajemnych kompensat załatwioną została, i Francya, zdaje się, zajmie w blizkiej przyszłości Marokko bez wystrzału tak jak to zrobiła z Tunisem, rozciągając tylko protektorat z pozostawieniem pozornej władzy sułtana.

Gdy zestawić to co się w Algerze widziało z półdzikim stanem Marokka, gdy wspomnieć, że i tu arabowie są tylko odwiecznymi najeźdźcami, gdy za ich plecami w górach istnieje ludność tubylcza, berberyjska, a Islam wszędzie rozpościera swe tchnienie, nie trzeba być jasnowidzącym, by przewidzieć, że rychło Europa i tutaj zawita...

*

*

*

Gdym nocował w hotelu tuż koło meczetu z minaretem, budził mnie nad ranem krzyk muezzina. To nic był *śpiew*,

jak delikatnie nieraz podróżni się wyrażają, to był „krzyk“ straszny, jęk głęboki z wyciem połączony.

Ponure głosy symbolizowały dobrze obecne Marokka położenie, bo jęk rozpaczy, jęk fatalnego poddania się, zanoszony w ciszy nocnej do Allaha, brzmiał mi głośną skargą na wiarę, co kraj do takiego upadku doprowadzić musiała...

Tanger, d. 10 marca 1902 r.

Prądy cieśniny Gibraltarskiej. — Słupy Herkulesa. —
Dżebel Tarik czyli Gibraltar.

Opuszczamy nareszcie „czarny ląd“, i płyniemy na statku angielskim z Tangeru do Gibraltaru. Pogoda niezła, słońce przedziera się pośród chmur, a pomimo to wody wzburzone i statek wyprawia płasy niemiłe.

Nic dziwnego, wszak przepływamy, owe gardło, przez które zasila się całe morze Śródziemne wodami Atlantyku. Tutaj łączą się dwa bezmierne baseny, tutaj mieszają swe wody, tutaj wreszcie, pod wpływem parcia w jedną i w drugą stronę, wytwarzają się prądy miotające falą.

Golfström wysyła jedno swe ramię na morze Śródziemne, które się za Gibraltarem rozdważy, obmywając z jednej strony wybrzeża Hiszpanii, a z drugiej Afryki północnej. Wody płyną na powierzchni cieśniny z szybkością 10-ciu kilometrów na godzinę, obcierając się o prąd dolny, podwodny, przeciwny, wyprowadzający gęste, słone wody morza Śródziemnego na obszary oceanu.

Zagęszczanie się wód na morzu Śródziemnym pod wpływem parowania jasno wskazuje jak szybko całego morza by

nie stało, gdyby gibraltarski gardziołek ciągle wielkiego żołądka nie zasilał.

Pomimo więc niezłej pogody, fale ciepłe Golfströmu spotykają się z wodą zimniejszą i gęstsza, mieszając się i kłębiąc, by, na zasadzie praw fizycznych, co gęstsze poszło na dno i tam znalazło wyjście w kierunku oceanu. Stąd wieczny niepokój na powierzchni wód cieśniny i niemiłe kołysanie statku.



Mapka cieśniny Gibraltarskiej.

Słabsi, nawet w czasie pogody, tej 3-godzinnej podróży bez morskiej choroby przebyć nie mogą.

Zapomnijmy jednakże o morzu i fali, bo na prawo i lewo jest już na co spojrzeć. Z jednej strony, oko zatrzymuje się jeszcze na ginącym w pomroce Tangerze, wznosi się następnie wyżej spostrzegając wyniosłe skały przylądka Abyla, by się zatrzymać na Ceucie hiszpańskiej, pilnującej z wysoka na afrykańskim brzegu interesów hiszpańskich.

Z drugiej strony leży Hiszpania, wybrzeże znacznie niższe i tylko w dali widnieją szczyty gór Sierra Nevada ubielonych śniegiem.

Nizko nad morzem na przylądku najwięcej na południe wysuniętym bielą się mury Tarify, także fortecy hiszpańskiej. Największa tu wprawdzie cieśnina (12 kilometrów), położenie jednak nizkie nie daje armatom hiszpańskim tych szans wyjątkowych jakie ma angielski skalisty i bardzo wyniosły Gibraltar, chociaż znacznie dalej ku morzu Śródziemnemu posunięty i nieco więcej od Afryki oddalony.

Pionowa, wyrastająca nieomal z wody skała Gibraltaru wspólnie z grzbietami Abyla tworzyły owe sławne w starożytności Słupy Herkulesa, ową bramę, po za którą najśmielsi zaledwie żeglarze odważali się wychylać, a Fenicyanie docierali do Bretonii by stamtąd przywozić cynę, dającą możliwość, przez stopienie z miedzią, wynalezienia bronzu, tego potężnego środka kultury w wiekach starożytnych.

Słupy Herkulesa wraz ze śnieżnymi górami Sierra Nevada oraz z Wysokim Atlasem nietylko dla ludzi grają ważną rolę; nawet wiatry znają przed nimi szacunek, pokornie zmieniając swe drogi.

Gdy wiatr wschodu zawieje i spotka gromadę chmur, pchających się z nad Golfströmu, od Atlantyku, ku sławnej cieśninie, poparty wyniosłymi szczytami, nie puszcza ich dalej, każąc zawisnąć nad samą cieśniną i czepiać się jej skalistych brzegów.

Oto i w tej chwili, ledwieśmy pożegnali czarną chmurę i ulewę dobrze nas moczącą w Tangerze, już spostrzegamy skałę Gibraltaru z czarnym kapturem na szczycie, zasłaniającym dalszy horyzont.

Z jednej strony promienie słońca złocą cieśninę, igrając z kosmykami fali, z drugiej skała odosobniona, szeroka i szara, niby noga grzyba-olbrzyma, podtrzymuje czapkę z chmury, tworząc ponurą panoramę. I tak podobno bardzo często tu bywa, a kapitan statku „Tell“ opowiadał mi, że 12-ty raz w tym roku odwiedzając Gibraltar, ani razu za pogody go nie widział.

Groźnie i chwiejnie na morzu wśród Słupów Herkulesa, wietrznie i chmurno w powietrzu, a dzień pogody i spokoju, to rzadkość. Cóż więc dziwnego, że złość tutaj w serce ludzkie przenika, że osiada na nim, niby rdza brudna, że pobudza wszystkie złe instynkty krwiożercze, że każe wierzyć tylko w siłę militarną i pięści?

Pomimo znakomitości naturalnego ufortyfikowania Gibraltaru, człowiek pozazdrościł potędze żywiołu, zapragnął mu sprostać i... wyciągnął niby żaba nogę gdy konia kuli. Niebotyczne, niedostępne skały powzmacniał fortami, fale uzbroił w pancerniki, deszczom — grad kul w pomoc posłać może, a grzmotom piorunów — wystrzały armatnie echem będą. Analogia zupełna, a nawet cel przyszłych zapasów, przyszły bratni bój ludzki znajdzie oddźwięk w walce wód gęstszych z lżejszemi tam w głębi cieśniny się zcierających.

Bój przyszły zresztą nie będzie w tych stronach nowością, bo nazwa nawet Gibraltaru wojenne ma pochodzenie.

Gdy arabowie, rozlawszy się po Afryce północnej zapragnęli sięgnąć po Hiszpanię, kalif Damaszku w r. 711 wysłał berberyjskiego wodza Tarika na ten podbój. Ów wylądował w Gibraltarze i odtąd ta góra od jego imienia „Górą Tarika“ czyli po arabsku „Dżebel-Tarik“ nazwana, a przerbiona z hiszpańska na „Gibraltar“.

Dziwnym zbiegiem losu taż sama skała, co była początkiem ujarznienia Hiszpanii, była w 1610 roku świadkiem ostatecznego wygnania najeźdców, a zawsze grając poważną strategiczną rolę, nareszcie w r. 1704 wpadła w ręce Anglików, którzy jej już więcej pomimo wielu bojów i oblężeń wydrzeć sobie nie dali.



Marokko. — Placyk „Cokko” największy w mieście Tangerze, na którym mieszczą się aż 4 poczty — ale cudzoziemskie.

Dzisiaj Gibraltar to piękne miasteczko o 26000 ludności, o ulicach czyściutkich, którym po Tangerze napatrzeć się nie można, o wspaniałym parku „Alameda“, rozciągniętym u podnóża skały, a upiękuszonym wszystkim co tylko sztuka ogrodnicza w takim klimacie stworzyć może, o wielkim wojennym porcie i wielkich warsztatach okrętowych, o ludności

wreszcie i języku angielskim, wnoszącym cząstkę dumnego Albionu na półwysep Iberyjski.

Wygląd też ma wielki, mocarstwowy, dumny, a gęsto po mieście widniejące mundury i kaski białe, kazałyby się spodziewać, że takiej sile, takiej karności i potędze nic sprostać nie może.

I siła mięśni może nie sprosta, siła jednak ducha naigrawała się w osobie Burów tam na południu przez trzy lata tej mocy, ustąpiwszy dopiero wtedy, gdy znikła wszelka nadzieja pomocy w nierównej walce.

Gibraltar, d. 12 marca 1902 r.

XVI.

Południowa Hiszpania. — Oliwki. — Warstwy ludów i państw. — Kalifat Kordowy. — Sławny meczet.

Hiszpanię, dzielącą się naturalnym sposobem na północną i południową, można zwiedzać dwojako. Jadąc od północy, będziemy mieli dalszy ciąg Europy o charakterze hiszpańskim, jadąc od południa, od Afryki, wkraczamy w kraj niegdyś arabski, kraj piękny o charakterze Włoch południowych, kraj, gdzie rój wspomnień historycznych z zamierzchłej przeszłości wiruje nad głową, gdzie widma kalifów i uczonych Wschodu spać ci nie dają, gdzie wreszcie doszukujesz się koniecznie śladów przebrzmiałej kultury arabskiej.

Pomimo wszystko, po przebyciu Gibraltaru, po wyjeździe z Marokka i stąpieniu na ziemię europejską, doświadczają się wrażenia przedewszystkiem ulgi i zadowolenia, że świat brudu i upadku za nami pozostał, że nie będziemy się więcej ocierali o nagie, a niechlujne ciała i nie będziemy zmuszeni ciągle deptać po nieczystościach; w wagonie andaluzyjskiej kolei, czujemy się lepiej i stateczniej niż na bezdrożnej wód przestrzeni, pomimo, że pociąg hiszpański wiele pozostawia do życzenia.

Tory kolei na całym półwyspie, będąc o jakie 8 cali szersze od normalnych europejskich (więcej niż w Rosyi), powinny zabezpieczać przynajmniej od trzęsienia i pozwolić dobrym i szerokim wagonom po sobie kursować. Gdzie tam. Normalny wagon hiszpański bardzo trzęsie, a o wygodach podróży, korytarzach i t. p. herezyach jeszcze tam nie marzą. Pociąg wlecze się żółwim krokiem (po 20 i 25 w. na godzinę), ale zato nigdzie długo nie staje. Dzięki takiemu systemowi, podróżny zamknięty w pudełeczku zwanym przedziałem wagonu, jeżeli



Marokko. — Widok Tangeru od strony morza.

nie ma ze sobą zapasów, morze umrzeć z głodu, a już conajmniej nabawić się choroby z braku możności odbywania normalnych funkcji życiowych.

Z tem wszystkim, zawsze to kolej, lepsza od marokkańskiego muła lub osła, a krajobraz z okienka przedstawia się znów zachęcająco.

Przesuwają się góry i doliny, piękne siklawy rzucają ze skał, niby wstęgi swe wody, urwiska piętrzą się w górze, a ponad wszystkim góruje błękit nieba.

Nie dziw.—To góry Grenady, piękny łańcuch Sierra Nevada, a za nimi będzie już kraj niższy, żyzna Andaluzya, ze swemi miastami Sewillą i Kordową.

O ile góry, jak zawsze, chwytają swoim majestatem, o tyle zlekka tylko pofałdowana Andaluzya zaciekawia.—Jesteśmy w kraju oliwek; ogrody i ogrody jak okiem tylko zasięgnąć, a raczej wielkie plantacye drzew oliwnych bardzo starannie utrzymanych.

Drzewo od drzewa rośnie conajmniej w 10-o metrowej odległości, w liniach prościutkich, przecinających się na wzór siatki olbrzymiej w której węzłkach zawsze znajdziesz drzewa koronę; tworzy to we wszystkich kierunkach aleje, a każde drzewo ma dosyć powietrza, gruntu i słońca. Gaje nieprzejrane oświetlone słońcem, mienia w blaskach szare swe listki, nadając plantacyom odcień srebra trochę oksydowanego.

Tu i owdzie oliwka ustępuje winu. Tak samo jak oliwczarnie prowadzone winnice z karpami grubych krzewów wieloletnich, bezlistnych, bo pora wiosenna, jeszcze więcej zdaleka na tle czerwonej gleby się rybäcką przypominają.

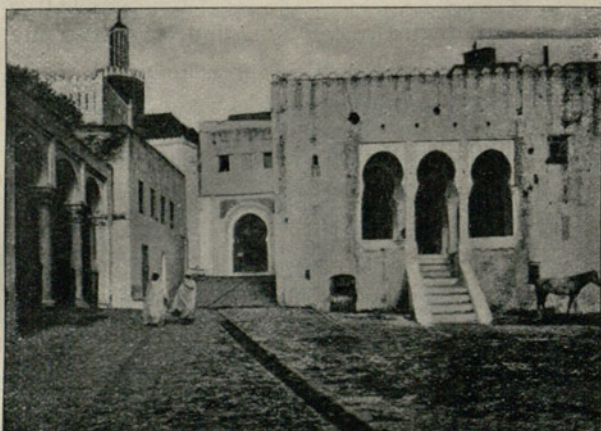
Rękę ludzką i pracę znać wszędzie, siedzib jednakże mało się widzi, bo kraj (pomimo klimatu i bogactwa gleby) o wiele mniej od naszego zaludniony; widać nacya hiszpańska zbyt wiele za oceany emigrowała, zbyt wiele nowych państw w Ameryce stworzyła, by jeszcze móz i w kraju ludność zagęścić.

*
*
*

Oliwkowe gaje, obszerne winnice, łąny zielone i cały krajobraz spokoju i ciszy powoli obojętnieje i niknie dla

oka, bo powstają mury zamierchłej przeszłości, mury i widma osób i ludów co tu żyły, pracowały, wojowały i wreszcie umierały; ileż to bowiem stara ta ziemia państw i narodów widziała.

W pomroce przeddziejowej, mającej jacyś Iberowie, zapewne rodzeni praszczury Basków dzisiejszych, później Fenicyanie kupieckie swe zagony tutaj zapuszczali, dalej Kar-



Marokko. — Wejście do więzienia arabskiego w starożytnej upadającej fortecy w Tangerze.

tagina kraj podbiła, by wreszcie ustąpić Rzymowi, który na długo nie tylko go opanował, ucywilizował, ale i zlatynizował, stwarzając Hiszpanów. Na gruzach państwa rzymskiego horda Wizygotów przez trzy wieki tu panuje (415 r.—711), rozpływając się sama w ludności tuziemczej, ale ugruntowując silnie chrześcijański katolicyzm.

Mieli już szanse zromanizowani Wizygoci na długo być półwyspu panami, gdy oto straszna a fanatyczna potęga kali-

fatu zapragnęła świat cały nieomal u nóg swoich położyć: pod wodzą Tarika wtargnęli arabowie do Europy i skończyli z Wizygockiem Państwem.

Arabowie wraz z podbiciem kraju wprowadzili do Hiszpanii całkiem odmienne porządki i zwyczaje, a Omajada Abdurrahman I-szy funduje nowe państwo, Kordowę czyniąc stolicą.

Hiszpania była ostatnią placówką stałych zdobyczy arabów; narzucili jej siłą swoje panowanie, a w zetknięciu z Europą zapłodnili wschodni pół-dziki ustrój nowemi siłami.

Kordowa pod następcami Abdurrahmana rozwijała się i kwitła, by dojść do szczytu potęgi i chwały w wieku X-m pod Abdurrahmanem III, kalifem całej już Hiszpanii.

Nieokrzesany arab, przez parę wieków władania półwyspem, wykształcił ducha należycie i zaczął sięgać nawet po naukowe wawrzyny. Tutaj przecież była siedziba owej nauki arabskiej, ich uczonych i poetów, tutaj artyści, mając zabronione przez koran odtwarzanie ludzkich postaci, dawali upust zdolnościom w tworzeniu pięknych arabesków, tutaj wreszcie architekci, wzorując się głównie na rzymskich pomnikach, stworzyli styl maurytański, tak dobrze do przedziwnych arabesków pasujący.

Kordowa stwarzała uczonych arabskich, ściągała na siebie oczy Wschodu całego, a uniwersytetem imponowała całemu muzułmańskiemu światu.

Nawet w dziedzinie religii, religii tak konserwatywnej jak Islam dynastia Omajadów zapragnęła Mekce pierwszeństwo odebrać; w tym celu powstał meczet w Kordowie, istny ósmy cud świata, meczet jakiego niema na świecie drugiego, budowla co miała olśniewać pielgrzymów z całej Azji i Afryki przybyłych.

I była rzeczywiście w owe czasy Kordowa stolicą nie tylko Hiszpanii, ale duchowo całego Wschodu, a nawet Europa, tonąca w mrokach zacofania i feodalizmu z podziwem i zazdrością na nią patrzyła.

Jesteśmy już jednak w Kordowie; rój wspomnień wiodąc za sobą idziemy do owego wspaniałego meczetu do dzisiaj jeszcze istniejącego.

Stara to już budowla, z tego jednak co widzimy można sobie dokładnie przeszłość odtworzyć. Jak wszystkie wschodnie budynki, meczet z zewnątrz jest jedną foremną bryłą muru mierzącą 175 metrów długości i 130 szerokości, opatrzoną tylko po brzegach flankami i niewielkimi rzadkimi okienkami; jestto ogrom przewyższający kościół Ś-go Piotra w Rzymie pod względem zajętego obszaru.

Mijamy olbrzymi podwórzec przeznaczony do ablucyi rytualnych, opatrzony kilkoma fontannami, by się nareszcie zagłębić we wnętrzu;—nic podobnego nie widzieliśmy nigdzie.

Przestrzeń otwarta, pokryta tysiącem sklepień, wspartych na 1000-cu kolumn; las słupów, w ścisłym znaczeniu tego słowa, symetrycznie ustawionych; osiemnaście naw jednakowych tworzy coś zaczarowanego, bo nawy te zmieniają się najrozmaiciej pod wpływem kąta patrzenia; rzuciwszy okiem ukośnie po przekątnej gmachu, tworzymy nowe nawy o innym wyglądzie, niemniej jednak oryginalne; każde z tysiąca sklepień oparto na czterech kolumnach i bliźniaczo podobnie obok siebie ustawiono, wiążąc słupy maurytańskimi arkadami w dwa piętra, jedną nad drugą zawieszając.

Dzisiaj uderza tylko ogrom i oryginalność budowli, niegdys to wszystko było wyłoczone, zawieszane kilku setkami żyrandoli, a w dzień oświetlone tysiącami okienek o mozaikowych szybach kolorowych.

Lekkość łuków i ozdób jest piękna, jednakże oko europejskie uderza głównie ów las kolumn, owa przestrzeń olbrzymia, przeznaczona na wspólną modlitwę, a tak różna od świątyń chrześcijańskich. Jestto wielki *typowy* meczet, dający możliwość prawemu muzułmaninowi namodlić się do woli; nie potrzebuje on ołtarza, bo wszelkie nabożeństwo zastępuje czytanie ustępów z koranu i ablucye.



Marokko. — Brama wjazdowa do Tangeru od strony lądu.

Świątynia Kordowy budowana była częściowo, a zaczęta jeszcze w VIII-m wieku przez Abdurrahmana I-go, ciągle powiększana i upiększana, skończoną była dopiero w r. 987.

Dzisiaj z owych świątyni arabskich w Hiszpanii nic krom wielkiego meczetu nie pozostało, a i ten się ostał tylko dzięki temu, że w XIII wieku, po upadku Kalifatu zamieniony został na katedrę katolicką.

Potęga arabska rozkwitała przeto przez 5 wieków, doszedłszy do szczytu w X-m, by zniknąć z Kordowy w wie-

ku XIII-m pod ciężką ręką Ferdynanda I-go, a ostatecznie z Grenady w wieku XV-m.

Rok 1609 był świadkiem ostatecznego wygnania maurów i dzisiaj na całej tej ziemi nie ujrysz araba, a Kordowa, raz upadłszy, stała się tylko miastem hiszpańskim, wielce zaniedbanem o 60-o tysięcznej ludności, nie posiadając, prócz historycznego meczetu, żadnego dowodu dawnej swojej wielkości.

Dziś, siedząc na bulwarze zwanym „Paseo Gran Capitán“ i patrząc na tłum hiszpański przed oczami się przesuwały, na domy europejskie i także miasto, niepodobna sobie wyobrazić, że przed 6-ciu wiekami tutaj był „Wschód“ ze swemi arabami, było to od czegośmy z Tangeru uciekli...

Kordowa, d. 14 marca 1902 r.

XVII.

Wulkan Islamu. — Zjadacze skorpionów. — Taniec arabski. — Ich cywilizacya. — Wielki Rok od niej murzynów uwalnia.

Widzieliśmy araba w północno zachodniej Afryce i przypomnieliśmy sobie jego pobyt w Hiszpanii. Pojęcie nie byłoby dostateczne, obraz niebyłby zupełny, gdybyśmy się nie cofnęli wstecz aż do czasów Mahometa i nie rozszerzyli pola widzenia na całą Afrykę arabską.

Naród niezbyt początkowo liczny, lud pustylny Arabii, semici z nad morza Czerwonego i Perskiej zatoki, zajęli w historii globu naszego miejsce pokaźne, zapisali wiele kart godnych przeczytania. Nie tu miejsce na powtarzanie ich dziejów, jaką jednak była działalność arabów i charakterystyka ich czynów, powiedzieć bym pragnął.

Bezprzykładnym jest w dziejach gwałtowny rozwój Islamu i natychmiastowe podboje, od kolebki już rozpoczęte i szybko przezeń dokonywane. Niby potężny a nowy wulkan zatrzęsł on Arabią i natychmiast zionął ogniem, zalewając część Azyi i Afrykę północną potokami lawy, gradem kamieni i deszczem piasku wulkanicznego. Lawa Islamu lała się wielkim strumieniem—rzeką całą, docierając aż do Atlantyku, a pył

wulkaniczny zasypywał oczy tym, których żar lawy rozgrzać lub spalić niepotrafił; kilkadziesiąt lat ledwie od jego narodzin minęło, a Islam już światu panował, przewróciwszy go od podstaw.

Trzeba było iście wulkanicznej potęgi, by tak duszą ludów zatrzęsnać, by tak ją rozpalic i doprowadzić do żarliwości pierwszych wyznawców Islamu; kogo namiętna religja ująć nie zdoła, legł trupem na drodze lawinie nie znającej oporu.

Mała garstka wyznawców Proroka urosła nagle w państwo potężne, a krzyk zwycięzki muezzina zabrzmiał od Atlantyku aż do Mezopotamii, od zwyciężonej Hiszpanii aż po ocean Indyjski, przeszedł środkiem „lądu czarnego“ aż do Zanzibaru.

Tylko religja namiętnościom schlebiająca, tylko wiara Islamu, obiecująca po śmierci rozkosze wśród huryszek, tylko przywilej dany mężczyźnie deptania praw kobiecych, tylko wreszcie prawo zakuwające niewolnika i oddającego, jak zwierzę, na użytek zwycięzcy, mogły dokonać tak nagłych i wielkich podbojów.

Wiara Proroka niezna wzniosłych i delikatnych ducha porywów, bo to religja „Południa“, a namiętność w Islamie gra zawsze dominującą rolę; brzmi ona w śpiewie, a raczej jęku muezzina, nie proszącego, lecz, zwierzęcym głosem skamłającego o zwycięstwo u Wielkiego Ałłaha, brzmia w fanatycznych krzykach i tańcach derwiszów, dochodzących w zapale modlitwy do ekstazy graniczącej z szaleństwem, dochodzi wreszcie do kulminacyjnego punktu w praktykach zakonników arabskich braci Aissaua, posuwających się do nieprawdopodobnych granic. Dziocy ci i wściekli ludzie, istni obłąkańcy, rozpoczynają produkcje tańcem monotonnym, kraszonym miarowymi ruchami głowy i rąk, wprowadzającemi ciało

w stan odurzenia; rozkołysani, pragną innych rozkoszy, zgoda dla trzeźwego człowieka niezrozumiałych: zaczynają połykać szkła kawałki, węże i jaszczurki, wreszcie żywe skorpiony. Po paru godzinach takiego szaleństwa obłąkanym braciom, o mętnych oczach i zapienionych ustach przyprowadzają żywe owce i barany, na które całe towarzystwo rzuca się z wściekłością, rwąc skórę, szukając żywego drgającego



Marokko. — Handlarz wodą w Tangerze.

mięsa i gasząc pragnienie w ciepłej krwi strumieniach. Jest coś nie do wiary w tych opowieściach, wiarogodni jednak podróżnicy szczegółowo o tem piszą. Nawet w Algerze, do dzisiaj, szanowni bracia za pieniądze gościom europejskim te sztuki pokazują, tylko, że połykanie skorpionów i żucie szkła nie może być zdrowem, więc straszne produkcyje tylko bardzo rzadko i za drogie pieniądze oglądać można.

A cóż jest taniec arabski, ów taniec huryszek i almei, w którym poci kawałek nieba upatrują?—Trzeba go widzieć na gruncie czysto arabskim, w ich domu i własnem otoczeniu, by zeszedł z Parnasu i zanurzył się w błocie, gdzie jest właściwe dlań miejsce.

Taniec arabski to jest taniec brzucha, ów „danse du ventre“ właściwie z Algeru przez zblazowanych francuzów przywieziony. O ile jednak na scenie paryskiej, przy całej brzydocie, zachowane są pozory estetyki, o tyle tutaj występuje on w całej nagości; pióro się wzdryga by opisać to szczegółowo — krótko powiem: zbydlęcona tylko mahometańska kobieta może to wykonywać, a jej pan na to patrzeć z rozkoszą...

A cóż jest owa cywilizacya i mądrość arabska, gdzieżto jej szukać, gdzież są owoce przez nią wychodowane?—Jak szerokie było panowanie arabów, jak długie były wieki ich przemocy, trudno jej dopatrzeć i owoców posmakować, a to dla tego, że „de facto“ nie istnieje i nigdy nie istniała.

Jeden kalifat Kordowy zaczynał coś podobnego wytwarzać i stworzył chociaż styl maurytański, ale stało się to właśnie tam, gdzie arab zetknął się z kulturą europejską i z niej potrzebnych wzorów zaczerpnął, trochę tylko na modłę swą przetwarzając. A i tego niewiele, bo tylko dwa są pomniki godne zanotowania, troskliwie przez chrześcian przechowywane — to meczet w Kordowie i Alhambra ze sławnym dziedzińcem lwów w Granadzie!

To za mało za zrujnowanie całej cywilizacyi w Afryce północnej, za ruiny Numidy i Maurytanii, za zniszczenie Egiptu, zburzenie rzymskich pomników w Hiszpanii i za ten cały okres barbarzyństwa w ziemiach niegdyś cywilizowanych. Ale zato jakże chętnie i ochoczo bawił się wyznawca

XVIII.

Arab i żyd. — Cechy semitów. — Fanatyzm i żywot pasożytny. — Czem są żydzi.

Podróż, nawet po Afryce północnej, nie pozbawia nas pewnego z krajem podobieństwa, pewnego przypomnienia stron rodzinnych; przypomnienie to—to żyd wszędzie się znajdujący. Widzimy go w Marokku w czarnym chałacie i czarnej krymce, po której się od reszty mieszkańców odróżnia, widzimy go w Tunisie, naśladowującego strojem tureckim mieszczaka maury, widzimy wreszcie w Algerze, jako francuza, przybranego w modny kostium europejski.

Wszędobylskość żydowska budzi dumę w ich współwyznawcach europejskich i pozwala nazywać się, tak jak za czasów Mojżesza „wybranym narodem“, który będzie rozsiały „jako piasek na morskiem wybrzeżu“, a nie zaginie.

Żyd jednak rzucony na tło arabskie to nowa kombinacja, budząca całkiem nowe, odmienne refleksy. Przecież arab to także semita, a więc brat żydowski, a wspólność rasowa musiała w obu tych szczepach pozostawić swe piętna.

Musiała, i pozostawiła. Już sam fanatyzm arabski, co ich niemal stworzył, co im szerokie i wieloletnie panowanie zapewnił, co ich obecnie wobec kultury europejskiej poniża

i co ich ostatecznie zgubi, fanatyzm właściwy semickiemu ple-
mieniu, znamy i widzimy u żydów, bo on to tylko przez tysiąco-
lecia utrzymuje w czystości ich religię, on przez nią zachowu-
je cechy plemienne, a konserwując w najdrobniejszych szcze-
gółach wiarę Mojżesza, utrzymuje ich w poczuciu swej ży-
dowskości.

Naród żydowski, ten kaleka narodów, nieposiadający naj-
ważniejszego organu, stanowiącego alfę niemal i omegę każdej



Gibraltar. — Skala stanowiąca własność angielską — u podnóża jej
miasto Gibraltar i port, równina na lewo stanowi już ziemię hiszpańską.

nacyi, nieposiadający języka, istnieje pomimo to, bo brak mu
również tkliwych uczuć serca język ojczysty otaczających.
Zatopiony w rytualnych modłach i rachubie, wyzbył się
ojczyzny i języka, bo mu fanatyzm wszystko zastępuje.

Rozproszenie po świecie w poszukiwaniu nowych ziem
i narodów dla swojego bytowania musi być jednakże cechą
ogólną rasy semickiej.

Religia Mahometa, kwiat semityzmu arabskiego, naka-
zała podboje i rozproszenie, dała bitnemu arabowi do ręki

Szkoda mogła być tylko chwilowa, a edykt w zasadzie barbarzyński, historycy jednak musieli chyba arabów na gruncie nie widzieć i nie porównywać ich należycie z cywilizacją, choćby tylko hiszpańską.

Prawda, że potomkowie dawnych rzymian, szczególnie na południu półwyspu, bardzo wiele do życzenia pozostawiają, że ich praca nie może iść ze środkowo-europejską w porównanie, jednakże o całe niebo wyżej stoi od arabskiej, a religia chrześcijańska pozwala na postęp i cywilizację, której Islam jest wprost zaporą.

*
* *

Potomkom i współwyznawcom Proroka natura przy wielu wadach nie odmówiła męstwa. Przez wieki wysysali soki żywotne z obcych narodów, wojowali jednak mieczem, w wielu wyprawach nieraz życie narażając, byli więc w zasadzie pasażerem, ale o cechach drapieżnych.

Żydom i tego natura odmówiła. Rozsiali się po świecie całym, wyszli ze swej Palestyny, jak arabowie z Mekki, *rozleźli* się jednak raczej niż rozbiegli, bo na odwadze zawsze im zbywało i woleli pełzać chyłkiem, nieznacznie, niż wstępny bojem kraje zdobywać.

Wszędzie gdzie przyszli oglądali się za siłą, by zawsze po jej zdeklarować się stronie, a z biegiem czasu i zmian władzy chętnie znów od osłabionego przechodzili do zwycięzcy, częstokroć zawczasu przenosząc się, instynktem wiedzeni, jak szczury z tonącego okrętu.

Toć oni pierwsi pomogli arabom zdobyć Kordowę, zdradzając mieszkańców pośród których żyli, a tych samych arabów dzisiaj w Algeryi zdradzają, rzucając się w objęcia fran-

cuzów, bo im z tem wygodniej. Księstwo Poznańskie jest świadkiem, jak polski żyd staje się niemcem zajadłym, nawet hakatystą.



Mapka Tunetanii.

Inteligentni żydzi w dysputach na temat antisemicki prowadzonych, przypisują nienawiść ogólną, wybitnym zdol-

nościom, jakie ich rasa posiada, wskazując wielu sławnych muzyków, artystów i uczonych żydowskiego rodu.

Jeżeli jednak naród żydowski tak wyjątkowemi zdolnościami jest obdarzony, czemuż on tylko pośród ludów kulturalnych tak świeci, czemuż rozsiany wśród społeczeństw mało ucywilizowanych, jak na przykład arabowie, przez wieki całe żadnego absolutnie postępu nie wprowadzał, czemu nie jest dźwignią kultury w kraju przybranym, czemu tam nie jest pionierem cywilizacji?

Na to pytanie dam krótką odpowiedź. Bo niema w sobie siły twórczej, bo tak jak arab, nigdzie nic nie buduje, ale jest tylko pasożytem rozwijającym się i kwitnącym tylko tam, gdzie ma obce obfite i bogate podłoże, gdzie cudzy organizm dobrą jest dlań glebą i dużo soków do wyssania posiada.

Żyd jest urodzonym pasożytem, gorszym od araba, bo zamiast męstwa i otwartej przyłbicy, którą pierwszy posiada, jest tchórzem, a jego bronią podstęp i zdrada, a jako taki łączy się zawsze z silniejszym przeciw słabszemu, bo mu to zapewnia największe korzyści.

XIX.

Żebractwo. — Madryt. — Muzea. — Walka kogutów.

Wspomniałem już, że Hiszpanię północną należy odróżniać od południowej pod względem ekonomicznym.

Południe, jak i we Włoszech, przepełnione nędzą i włoścągami, a żebrania, jak zaraza, weszła prawie w krew biedniejszej ludności.

Nigdy nie zapomnę uczucia litości, pogardy i wreszcie oburzenia, wyczerpującego prawie cierpliwość, gdyśmy, zwiedzając Kordowę, literalnie co kilka kroków, bardzo natarczywie, byli napastowani przez różne indywidua proszące jałmużny. Tamta prośba to nie nasze zdaleka pokorne wyciągnięcie ręki, to zastępowanie drogi „en face“ i domaganie się datku pod groźą niepuszczenia dalej.

Żebyż to chociaż tylko starzy i biedni żebrali... Południowa Hiszpania zrobiła sobie z tego jakąś publiczną zabawkę, lub sport szczególnie przez dzieci względem cudzoziemców uprawiany.

Kiedy tylko zoczysz dzieciaka, co zaledwie odrósł od ziemi, bądź pewny że wespół z innymi większymi wyrostkami prześladować cię będzie, towarzysząc daleko, aż wreszcie znajdziesz się literalnie otoczony przez kilkunastu bębnow,

nieźle ubranych, dzieci wcale nie żebraczych, jeden przed drugim zabiegających ci drogę i na różne głosy wołających „cinque centesimo“ (pięć centimów).—Starzy ulicą przechodzą, patrzą na to wszystko i jednym słówkiem nie skarżą bezwstydnich wybryków, ani nie pomyślą o obronie cudzoziemca przez zgrają obleganego... — Cóż dziwnego, zapewne, gdy byli dziećmi tak samo się bawili.

Żadnemu pomnikowi przyjrzeć się nie można, napisu przeczytać, oka zatrzymać na pięknym krajobrazie, bo wnet niby z pod ziemi, zjawia się żebrak dorosły lub dziecko by cię męczyć swoją osobą.

To też południe półwyspu, cała Granada, Andaluzya i Murcyja, to kraj brudny, nędzny i nosi wyraźne cechy upadku, do czego zresztą może i zbyt gorący klimat, po trosze, szczególnie na wybrzeżach się przyczynił.

Wyniosłe płaskowgórza Kastylii i Arragonii mają i klimat ostrzejszy i ludność dzielniejszą, a baskijskie Golicya z Asturyą, północna Nawarra z przemysłowem miastem Bilbao oraz Katalonia z pracowitą Barceloną, to chluba Hiszpanii, to jej przyszłość.

Dwa są najludniejsze miasta Hiszpanii: Madryt i Barcelona. Oba o półmilionowej ludności i nowożytnym wyglądem, każde jednak posiada typ odmienny i wyobraża krańcowo niemal polityczne, ekonomiczne i społeczne idee. — O Barcelonie powiem później, teraz zajmę się Madrytem.

Stolica Hiszpanii, rezydencya dworu, miasto wreszcie stare, pamiętające największy rozkwit potęgi państwowej półwyspu, nie może być nędznym zakątkiem.—To też Madryt w przeciwstawieniu do całego Południa robi bardzo dobre wrażenie: jest miastem nowożytnem o pięknych gmachach, długich ulicach, o dobrych komunikacyach tramwajami elek-

trycznemi, wreszcie, co najważniejsza, o licznych ogrodach, bulwarach, promenadach i parkach, zastępujących wycieczki zamiejskie, których brak zupełnie.

Gdy tylko miniemy szeroką i ruchliwą ulicę Calle de l'Alcala odrazu znajdujemy się w dzielnicy jakiś olbrzymi ogród przypominającej. Wspaniałe aleje o kilku rzędach drzew, o szerokości pięć razy większej niż nasze Jerozolimskie, gubią swe perspektywy na krańcach horyzontu.—Z jednej strony „Paseo de Recoletos“ z drugiej „Salon del Prado“ ozdobione licznymi posągami i fontannami tworzą te aleje, a dopiero przez drzew korony prześwitują gmachy publiczne, ministerya i muzea.

Od „Porto de l'Alcala“, czyli arki tryumfalnej zaczyna się wielki park Madrycki, cieniste „Buen Retiro“, ogród nie mniejszy od naszych Łazienek, okraszony licznymi stawami i kwietnikami, a miejscami tak silnie zadrzewiony, że po prostu czujesz się w leśnej alei, której drzewa prawie się od góry stykają. Nawet o marcowej porze park jest pełen woni, bo wśród drzew, u brzegów alei cała ziemia mieni się fioletu kolorem, a zapach fijołków aż dusi. To też park ten wspaniała może być chlubą Madrytu i jego ozdobą.

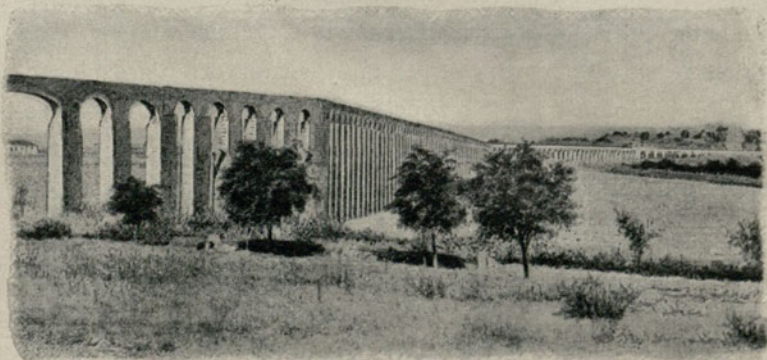
To są zewnętrzne ozdoby stolicy, lica pięknej pani z uśmiechem do gości zwrócone; nie tylko jednak liczko jest kraśne i ponętne, jest czego i wewnątrz poszukać, bo można znaleźć dość karmu dla ducha i wyobraźni.

Madryt posiada ze 20 muzeów, prawie każde w pięknych osobnych gmachach pomieszczając.

Sztuki piękne prym wiodą, więc oglądasz galerye obrazów szkół starych ozdobione „białemi krukami“ Rafaela, Ty-cyana, Tintoretta, Murilla i innych, galerye nowożytnie i mu-

zeą kopii gipsowych najcenniejszych rzeźb klasycznych, ku kształceniu młodego rzeźbiarzy pokolenia.

Za sztuką idą zbiory historii naturalnej, antropologii, archeologii, narodowe, wojenne, morskie, artyleryjskie, inżynierskie, kolonialne i t. p., jednym słowem rzadkie bogactwo, dowodzące wielkiej przeszłości Hiszpanii, tak jak galeria portretów rodzinnych w starszłacheckim dworze, świadcząc o minionej przeszłości.



Tunetania. — Średniowieczny akwadukt hiszpański — obecnie w ruinie.

A jakaż długa ta przeszłość, jakże znów głęboko zapada myśl, sięgając do czasów rzymskich praojców dzisiejszych mieszkańców...

Ze wszystkich ziem wielkiej Romy półwysep bodaj Iberyjski najczystiej mowę łacińską przechował, najmniej w biegu wieków ją zmienił. Zapewne geograficzne położenie i oddalenie od ruchów środkowo-europejskich temu sprzyjało, bo nie licząc przebiegu Wandalów, to tylko najazd Wizygotów mógł wyrzucić wpływ doniosły. Wizygoci nie zostawili jednak śladów po sobie, bo była ich garstka niewielka, wła-

ściwie tylko stare rządy obalająca i na trzy wieki nową obco-krajową dająca dynastyę i arystokrację; jak jedna, tak druga wkrótce utonęły etnograficznie w narodzie hiszpańskim.

To też gdyby nie najazd arabów, który pozostawił w języku nieco naleciałości, język hiszpański byłby nowożytną łaciną o tyle tylko zmienioną, o ile 2000 lat żywy język zmienić musi.

W każdym razie dwutysiącletnie urabianie się wspólne narodu na tak oddzielnym półwyspie złało go w bardzo jednolitą całość, i gdyby nie Baskowie zupełnie odmiennej już rasy i portugalczyki przez długi był historyczny zroźniczowani, jednolitość byłaby zupełna, a tak rzadka w innych krajach europejskich.

Nawet dzikie rzymian instynkty, owo zamiłowanie do krwawych igrzysk jedynie tutaj się przechowały.—Arena znikła z samej nawet Romy, znikła z pod gór Apenińskich, a przechowała się tutaj w postaci walki byków, najbliższej do dawnych igrzysk, szarpiąc nerwami prawników, godnych pod tym względem potomków pradziadów. Nowożytna też byków arena musi być w każdym miasteczku, a torreador sławi się w pieśni poetów, niby bohater narodowy.

Niedość było Hiszpanom krwawych z bykami zapasów. Ich nałóg, żądny widoku męczeństwa i krwi rozlewu sięga po nowe rozkosze przystępniejsze w każdej porze dla biedniejszych.

Od lat kilkunastu, obok walk byków powstają małe areny, małe cyrki męczeństwa, zupełnie prawidłowo zbudowane dla „Walki kogutów“.

Wstrętna ta zabawa przyszła z Albionu, chwycona jednak została przez hiszpanów z zapałem i bodaj że tutaj dojdzie do najwyższego rozkwitu.

Arenka-klatka pośrodku, amfiteatralnie rozłożone siedzenia dokoła, a dwóch bohaterskich kogutów staje w szrankach. Czy myślicie, że to te piękne, nasze koguty o dumnej postawie i pięknym upierzeniu, o ogonie wspaniałym, czerwonym grzebieniu i 2-ch kraśnych kolczykach? — Gruba pomyłka. Bohaterowie stojący przed nami to dwa zda się zdechlaki o gołych szyjach bez pierza, gołe u dołu, a kuperek i brzuch



Tunetania. — Ruiny akwaduktu rzymskiego.

podskubane, świecą czerwoną nagością; grzebienia ledwo ślad pozostał, kolczyków już niema, kilka piór w ognie i oko wybite.

Wszystko świadczy dowodnie, że ten zapaśnik niezwykły, jakby z garnka wyciągnięty, to zwycięzca wielokrotny, rycerz, za którym pójdą pieniądze zakłady. Przeciwnik równie prawie ponętnie wygląda.

Pierwsze starcie jest obcesowe. Ptaki w pudełkach wniezione rzucają się na siebie z wściekłością, rażąc się dziobami i ostrogami niemiłosiernie; uderzenia dziobów idą jak na komendę, a każdy szuka łba lub szyi drugiego; resztki piór lecą z pół nagich już ptaków, a widzowie zaciekawieni z błyszczącymi oczami rachują ilość ciosów i głośno czynią zakłady.

Walka trwa dalej, słysząc łopot skrzydeł, trwa to najmniej pół godziny, krew leje się po szyjach zranionych, a łby jedną czerwoną masę przedstawiają. Jeden wreszcie widocznie zwycięża, bo przeciwnik tylko ucieka i chowa skołataną czaszkę choćby pod wrogie mu skrzydło przeciwnika; wreszcie sił mu nie staje, już się słania, omdlewa, by oślepty, upaść u nóg zwycięzcy i zadrgać konwulsyjnie w agonii.

Po za tą parą idzie druga, trzecia i szereg następnych, a zabawa trwa od południa aż do wieczora.

Tak się bawią nowożytni hiszpanie, zaspokajając odziedziczoną żądzę krwawych zapasów.

Barcelona. — Miasto robotników. — Stan waluty hiszpańskiej. — Dźwiganie się przez przemysł. — Młodociany król.

Po Madrycie, Barcelona duży kontrast nawet dla oka stanowi. Miejsce czystych, salonowych nieomal ulic stolicy, zajmują bulwary i chodniki czarne od pyłu węglowego i domy jakby przykopcone, co każe się domyślać, że jesteśmy w ognisku przemysłu, w sąsiedztwie licznych fabryk; potwierdza się to i w ludności po ulicach tłumnie się przechadzającej.

Miejsce wspaniałych, dworskich i arystokratycznych karet, miejsce bogatych strojów i wydelikacowanych twarzy, zajmują liczne wozy frachtowe i furgony na tle tłumów pracowitych o twarzach od dymu zczerniałych i rękach grubych — zapracowanych.

Tylko tramwaj elektryczny brząka jak w stolicy, tak tu, jak i tam jednakie oddając usługi; źle mówię, tu większe daleko oddaje usługi, bo Barcelona, łącząc się z przedmieściem Gracia, tworzy obszar olbrzymi, mało jeszcze zabudowany, ale z planem o szerokiego zakroju, przygotowanym na pomieszczenie ludności przynajmniej 4 razy większej. To miasto, dziś pół milionowe, miasto robotników, liczące 200,000 samych

obywateli w bluzy odzianych, jest bez wątpienia miastem terażniejszości, niby Łódź nasza, ale również i miastem przyszłości.

Barcelona nie buduje się jednak, jak Łódź, bezładnie i tymczasowo, przemysł bowiem hiszpański jest przeważnie narodowy, w rękach kastylijczyków pozostający, rozwój więc miasta traktuje się po obywatelsku.

Ulice nadzwyczajnej kilkuwiorstowej długości, bardzo liczne, wzdłuż i wpoprzek przecinają się pod prostemi kątami, tworząc kwadraciki przeznaczone na budowle. Tu i owdzie pośród ulic dostatecznie szerokich, świeci bulwar silnie platanami zadrzewiony, rzucając pas zieleni pośród wysokich budowli; a już pomników i fontann nigdzie nie żałują, by monotonnię ulic nieco urozmaicić.

Mijając arkę tryumfalną, wchodzimy do parku publicznego, ciągnącego się aż do portu i kolei z widokiem na morze; obok więc morza prawdziwego leży morze zieleni bardzo starannie utrzymywanej.

Park z wielkim nakładem założony, posiada również kolosalne fontanny i posągi, nawet nie brak mu sztucznej kilkupiętrowej skały z cementu, by stworzyć widok na morze. Klomby dywanowe, cała masa kwiecica, przeplatają się z alejami palm puszystych, niebrak jednakże i kątków zacisznych, skromniejszym krzakiem zarośniętych, gdzie cichutko i spokojnie można wczasu używać...

Nasze oko przywykłe na takim tle widywać eleganckie tłumy, nie może się z tem oswoić, że w „mieście robotników“, sami tylko robotnicy dobrodziejstw spaceru używają. Tutaj bawią się ich dzieci w niewymyślnych strojach, tutaj żony i babcie na ławkach poroziadane cieszą się dziatwy zabawą, tutaj wreszcie ojciec po pracy na odpoczynek wstępuje, by odetchnąć świeżą wonią, a klimat cudowny, klimat Riwiery,

stworzony przez zasłonięcie od północy górami, dodaje uroku
roboczemu miastu...

*

*

*

Hiszpania przebywszy w wieku XV-m i XVI-m złoty
swój okres, okres potęgi i rozkwitu, już od wieku XVIII-go
chyli się wciąż do upadku: strata Portugalii i wyzwolenie
się Niderlandów zaczynają szereg klęsk 300-letnich; wojna
francuzka, wzięcie Gibraltaru przez anglików, chwilowe uja-
rzmienie całego kraju przez Napoleona, utrata Czili, Kolumbii
i Florydy, odpadnięcie Peru i Meksyku, wojny karlistowskie,
wreszcie powstanie na Kubie i jej wyzwolenie wraz z zagar-
nięciem przez Amerykę Filipinów, pozbawiły metropolię pra-
wie wszystkich kolonii i zepchnęły państwo do 3-o rzędnych.

Spółeczeństwo rozgoryczone, państwo osłabłe, a skarb
pusty, u progu bankructwa, oto dorobek 300-letni, z którego
dynastia Burbonów, 200 lat siedząc na tronie, zdać musi ra-
chunek.

Ostatni jej przedstawiciel, obecnie panujący Alfons XIII
dopiero odrasta z dzieciństwa, wchodząc w wiek młodzieńczy.
Naród czeka cierpliwie jego rządów i naprawy stosunków,
a czas już wielki, bo straty materialne są bardzo dotkliwe i kraj
jęczy pod ciężarem spadku waluty, zmuszony 138-u pezetasami
100 franków francuzkich opłacać, pomimo, że pezetas powi-
nien być równy frankowi, bo Hiszpania należy do unii mone-
tarnej łacińskiej, obejmującej Francję, Belgię, Szwajcaryę,
Włochy, Grecję, Rumunię, Serbię, i Bułgarię.

*

*

*

Wśród dysput ekonomicznych, a nawet w artykułach pism specjalnych, bardzo rzadko zdarzało mi się spotkać dobre, logiczne pojęcie o przyczynach i skutkach upadku waluty, a jeszcze więcej chaotycznych pojęć panuje, gdy się mówi o uregulowaniu i naprawie finansowego stanu państwa. Na przykładzie więc Hiszpanii chciałbym tę kwestyę rozwinąć i pokrótce wyjaśnić.

Przedewszystkiem należy ustalić sobie pojęcia że:

1. Złoto, nawet w monecie jest także towarem, różniącym się tylko tem od innych, że *posiada wartość prawie niezmienną*, podlegającą dopiero obniżeniu w długich wiekowych okresach, w miarę liczniejszego na powierzchnię ziemi wydobycia.

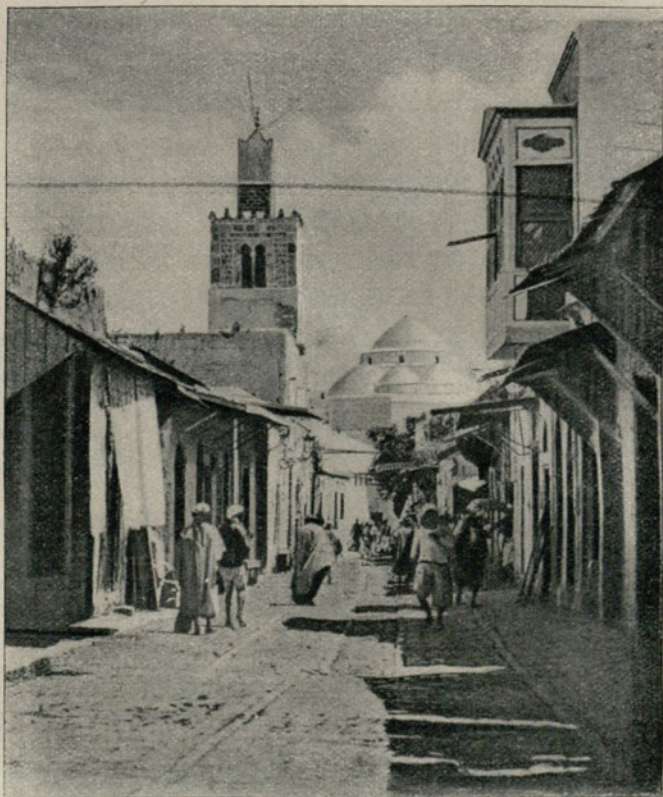
2. Że stała wartość złota uczyniła go wybornym *środkiem do mierzenia innych wartości realnych* i zastępowania małą ilością w kieszeni lub kasie umieszczoną, wielkiej masy wszelkiego innego dobra materialnego.

3. Że skarb państwa musi mieć, jak każdy bank prywatny lub akcyjny, pewien „kapitał zakładowy“, w postaci *poważnej ilości złota*, z tem obostrzeniem, że złoto to *musi leżeć w skarbcu na składzie*, bo gospodarka oparta na układaniu budżetów i ściśsem ich wykonywaniu, stawia go poniekąd w rzędzie kupców i bankierów, rezerwując jedynie pierwsze i decydujące miejsce.

4. Że *banknoty skarbowe* i drobny bilon są *równoznaczne z weksłami* i obligami banków i kupców prywatnych, różniąc się jedynie brakiem terminu płatności, bo ta płatność powinna być „à vista“ t. j. za okazaniem w każdej chwili.

5. Że *zamykanie budżetów bez niedoboru jest dla skarbu* tak samo *obowiązującym*, jak w zwykłych handlowych stosunkach.

6. *Że wreszcie skarb z chwilą gdy banknotów na złoto nie zmienia jest już bankrutem, równym kupcowi, co swych weksli w terminie nie płaci.*



Tunis. — Ulica z minaretem. W głębi meczet.

Wyobraźmy sobie teraz, że skarb hiszpański, za dobrych czasów miał ów kapitał zakładowy w postaci leżącego złota na sumę całego miliarda pezetasów. (Cyfry stawiam dowolne, okrągłe, jedynie dla obrazowości). Teoretycznie biorąc rzeczy, miał prawo, trzymając złoto w skarbcu, wypuścić

na takiż miliard banknotów papierowych lub bilonu, będąc pewnym, że w każdej chwili, na żądanie, na złoto je wymieni.

Całe szeregi jednak lat z deficytami w budżecie zmuszały owe braki czemś pokrywać, a więc zaczerpnięto złota ze skarbcza, przypuścmy 100 milionów pezetasów, co pociągnęło za sobą wstrzymanie wymiany w każdym czasie na złoto, bo taka wymiana w całości stała się już niemożliwą.

Nie dość jednak tego, że zniknięcie złota z obiegu oznaczało niepewność sytuacji lecz i budżety są jawne; świat dowiedział się rychło, że złota ubyć musiało, że więc niepewność zapłacenia wszystkich banknotów naruszoną została — i zaznaczył to spadkiem waluty hiszpańskiej i odmówieniem wymiany banknotów i bilonu hiszpańskiego „al pari“ na złoto zagraniczne, jeżeli we własnym kraju na takież złoto pezetas papierowy zmienionym być nie może.

Wojna kubańska kosztowała znów skarb nowe, przypuścmy, 180 milionów (cyfra dowolna, dla przykładu), które kapitał złoty o tę sumę zmniejszył i oto upadło znów zabezpieczenie dla takiejże ilości banknotów w kraju kursujących, a wartość pezetasu w porównaniu ze złotym frankiem spadła ostatecznie do 72 centimów. Jakże taka obniżka na stanie ekonomicznym społeczeństwa się odbije?

Z chwilą gdy złoty pezetas znikł z obiegu, *już skarb hiszpański był bankrutem*, co swych weksli nie płaci, a stoi jedynie „wrozumiałością“ wierzycieli.

W wewnętrznych stosunkach kraju to wiele rzeczy nie zmieniło, bo wierzycielami są własni poddani, posiadacze weksli rządowych w postaci banknotów kursujących, w stosunkach jednak z zagranicą, obywatele kraju wystąpili jako *posiadacze niepewnych walorów* niejako weksli kupca zachwianego, które obcy nie jest obowiązany „al pari“ przyjmować.

To też — ten obcy nie tylko je w wartości obniżał, ale obniżał więcej niżby należało, na swoją korzyść „dla pewności“ sytuację wyzyskując.

Gdyby kurs w takich warunkach mógł się ustalić, bieda, stosunkowo, byłaby nie wielką, bo pezetas zmniejszyłby po prostu swoją wartość ze 100 na 72 centimy, a obywatele straciliby tylko jednorazowo ową obniżkę; ale w tem rzecz głównie leży, że, dopóki skarb państwa nie przyzna tego faktu i nadal przychodu z rozchodem zgodzić nie może, sytuacja jest jak mętna woda, w której ryby łowią się najlepiej.

Podstawa niepewna, więc giełdy bawią się w grę walutową, niepewne pezetasy wyżej lub niżej notując, bo nikt nie może ściśle określić ich wartości. Te skoki nieoczekiwane i niczem nie usprawiedliwione są dopiero prawdziwą klęską dla kraju, bo grabią potroszku, ale długo trwale poddanych niepewnego państwa we wszelkich stosunkach z zagranicą.

Jakież stąd wyjście i rada skuteczna? — Jest, nawet nie jedna, lecz dwie pewne drogi.

1. O ile Państwo nie straciło kredytu na zewnątrz lub na wewnątrz, coprędzej zaciągnąć pożyczkę wyrównującą brakowi złota w skarbcu, pożyczkę amortyzacyjną, rozkładającą na długie lata pokrywanie niedoboru i złoto jaknajrychlej w kurs puścić.

W razie utraty kredytu, nałożyć jednorazowy podatek wyrównujący brakowi złota roztrwonionego i powrócić do pierwotnego stanu finansów czyli, innymi słowami, zmusić wierzycieli do poratowania własnymi kieszeniami bankruta. — Środek to najlepszy, ale ze względu na wielki podatek dla rządu, szczególnie hiszpańskiego, niebezpieczny, bo mógłby rewolucję, lub zamach stanu wywołać.

2. Przyznać się oficjalnie do bankructwa, 720 milionów złota, leżącego jeszcze w skarbcu, przebić na mniejszą ale złotą monetę tak, by z nich zrobić 1000 milionów, lub na sztukach złotych wielkości dawnych 20 pezetów napisać 28; mniejsze, ale złote pezety w kurs puścić, regulując się ponieważ z wierzycielami, jak zbankrutowany kupiec, płacący 72 za 100.

Tak w pierwszym, jak i w drugim sposobie, by „pari“ nadal utrzymać, trzeba już dobrze gospodarować i nowych niedoborów i wstrząśnień unikać, stale złoto w kursie utrzymując.

Cyfry przezemnie podane nie są zgodne z rzeczywistością, lecz wzięte jedynie okragło, dla przykładu, bo dokładnego stanu skarbu hiszpańskiego nieznam, a przypuszczam, że nawet niebardzo wogóle jest znany, praktyka zaś innych państw pokazała, że drugi zanotowany przezemnie sposób wyjścia z przykrej sytuacji jest dobrym i do celu skutecznie prowadzi.

Ciężkie Hiszpania chwile przechodzi, a przed młodocianym królem otwiera się praca niezmierna i odpowiedzialna, która pewnie będzie decydować o jego dynastyi. Cały kraj zostaje w mrokach zacofania i upadku, w stanie tak godnym pożałowania, że jedynie geograficzne położenie i wyśmienite granice naturalne zabezpieczają go od rozszarpania i rozbioru. Gdyby nie te granice, z pewnością nieominąłby go los, który w podobnych wypadkach innych państw był udziałem.

Jedynym promykiem nadziei odrodzenia i lepszej przyszłości jest owa Barcelona i miasto Bilbao. To są ręce, co

dźwignąć Hiszpanię potrafią, o ile młoda głowa króla odpowie tym nadziejom, jakie słusznie w nim pokładają.

Wychowany przez matkę Krystynę z domu austryackiego, niemający ojca, wzorem wszystkich dzieci przez wdowy chowanych, widząc tylko tkliwą miłość macierzyńską, powinien wyrosnąć na męża zacnego, na odnowiciela kraju i ziścić nadzieje w nim pokładane.

Matka — wdowa go wychowuje, a więc, przypuszczam, tak będzie.

Tunetania krajem kontrastów i wspomnień historycznych. — Rys historyczny aż do protektoratu francuskiego.

Kto chce zobaczyć krajinę kontrastów, kto chce pochwycić cywilizację, na gorącym uczynku, gdy opanowuje kraj zupełnie nieomal dziki, kto chce podpatrzeć sposoby jakich się do tego używa—niechaj jedzie do Tunisu.

Skończył się długi letarg, w jakim ten kraj pozostawał, długie lata ugorowania pod panowaniem arabskim i pod rozpalonemi promieniami słońca afrykańskiego ustępują nowej epoce odrodzenia pod ręką francuzów; starą ziemią berberów wstrząsają dreszcze przebudzenia; zanim jednak ono w zupełności się dokona, cała przeszłość przesuwa się niby ubiegłe senne marzenie, otulając go aureolą historycznych wspomnień.

Trzy tysiące lat trzeba się cofnąć, by się wydobyć z granic historii, by w dzisiejszej Tunetanii zastać tylko właściwych krajowców, berberów, najprawdopodobniej rasowo jednakowych z libijczykami; oni to tworzą księgę o kartach białych, na których historia zaczęła zapisywać daty i stawiać pomniki; księgi tej karty do dzisiaj nie są w całości zapisane,

bo ludność pierwotna istnieje, bo pień etnograficzny, macierzysty, aczkolwiek osłabiony i wynędzniały, ledwie widniejący z po za obcych napływowych żywiołów, jednakże bytuje pod nazwą „krumirów“.



Tunis. — Wnętrze jednej z galerii kupieckiego bazaru zwanego „suki“.

Fale różnych zalewów etnograficznych, religijnych i politycznych podmywały bez ustanku starą ludność, wielką jednakże musiała być jej odporność kiedy, acz w szczupłych rozmiarach przez 3000 lat wytrwać umiała.

Fenicjanie pierwsi dotknęli dziewiczych brzegów kraju; nietyle mieczem ile miarką wojując, pozakładali na wybrzeżach liczne kolonie i, nie interesując się zbyt przewagą polityczną, roztoczyli wpływ handlowy i ekonomiczno-kulturalny na całą głąb kraju.

Z tych kolonii powoli wyrosła potężna Kartagina, potrząsając nawet barami również potężnego Rzymu; wpływy jej sięgały do wysp Balearskich, przez Korsykę aż do Sycylii, a szale potęgi potrząsającej ówczesnym światem cywilizowanym warzyły się długo pomiędzy republiką afrykańską a Rzymem. Losy dziejowe rozstrzygnęły nareszcie spór wiekowy i wojny punickie, wylawszy morze krwi, doprowadziły do zrównania z ziemią potężnego miasta, którego ruiny leżą zaledwie o kilkanaście kilometrów od obecnego miasta Tunisu.

Berberowie, spokojnie dotąd przyglądający się sporowi najeźdźców wystąpili teraz czynnie. Dzielnny Jugurta niechciał wpuścić nowych panów do kraju, stawił harde czoło sile starszej Romy, nie żałując krwi i odwagi; nie sądzonem jednak było Berberom samoistne panowanie, Jugurta uległ, a piękna kraina stała się prowincją rzymską Numidya, stała się perłą pierwszorzędnego blasku w dyademie republiki. Rzymianie szczególnie ją sobie umiłowali, kolonizacya tak blizkich brzegów afrykańskich szła szybko, rzymskie rodziny tysiącami płynęły za morze, a rząd bił drogi, budował miasta i akwadukty i swoją cywilizacyą zalewał kraj cały.

Wkrótce Numidya stała się tak rzymską, tak usianą pomnikami ich myśli, ich ducha i czynu, że o berberach zupełnie zapomniano, a świetne pomniki cywilizacyi rzymskiej, do dzisiaj świadczą o jej afrykańskim rozwoju.

Nigdzie, nawet na samym półwyspie Apenińskim, niema tylu ruin, tylu pamiątek z czasów cesarów ile się ich znajduje

w tym zapomnianym dotąd zakątku krajów Atlasu; znajdują się one tak dalece wszędzie, że nawet wśród szczerzej pustyni nie są rzadkością, dowodząc dotykalnie nie tylko wielkiej kultury potężnego Rzymu, lecz i zmiany klimatu, jaka od czasów rzymskich tutaj nastąpić musiała.

I ten wielki, a świetny okres się skończył i nastał wiek V-ty po Chrystusie i berberowie ujrzeli nowych panów, ujrzeli Wandalów, którzy zgodnie ze swą nazwą obeszlą się z cywi-



Tunis. — Ulica w części arabskiej.

lizacją którą zastali i dopiero przed siłą bizantyjczyków ustąpić musieli. Ci z kolei zainaugurowali okres zjadłej obrony przed nowymi barbarzyńcami, okres budowy fortec, których ślady dotąd istnieją, okres nieustannej czujności.

Wysiłki były potrzebne, nie zdołały jednak odmienić przeznaczeń tego kraju. Nawała arabsów rozpoczęła najcięższy i najdłuższy okres historyczny starożytnej Numidyi. Przez 1200 lat arabowie wszystko czynili by zniszczyć to, co cywilizowane rękę poprzednich władców zbudować zdołały; staro-

żyte miasta poszły w perzynę, a półksiężyc zatryumfował powszechnie, niby symbol martwoty, rozwijając martwość dokoła.

Islam, pospołu z rozgrzewającym się klimatem, wypalał to co zrujnować się nie dało; słońce z gorącymi wiatrami wysuszało ziemię i zamieniało ludne niegdyś miasta w zupełne pustynie, przechowując nam je w szczątkach do dzisiaj, a fatalna religia przejadała dusze, rozleniwiała ciała i upadła kobietę, cofając gwałtownie powrotną falą to co poprzednie pokolenia naprzód posunęły.

I tak upływały wieki długie—aż dwanaście wieków, po których rzeczywiście kamień nie powinien był pozostać na kamieniu i wszelki ślad poprzedniej pracy i zalegliwości powinien był zagaść.

Kamień rzeczywiście nie pozostał na kamieniu, lecz też i arab nawet przez 12-cie wieków nie był w stanie nic, lub nie wiele z owych kamieni uczynić, pozostały więc w postaci ruin obfitych, obfitszych niż gdzieindziej, właśnie i jedynie dzięki martwocie i nieumiejętności zużytkowania nawet porozrzucanych kamieni. Dzisiaj świadczą one nietylko o wiekach rozkwitu i potęgi Rzymu, lecz również i o wiekach długiego męczeństwa pod ręką arabów i długo jeszcze (szanowane i ochraniające) na nowo odgrzebywane, poruszać będą umysły przyszłych pokoleń coraz potężniejszym głosem przeszłości.

Dzięki arabom bogaty i cywilizowany kraj przepadł dla świata, przestał istnieć aż do tego stopnia, że w Europie wszelka pamięć o jego kulturze zniknęła, a sam stanął w szeregu krajów półdzikich, mało znanych i zbadanych.

Tak na dobre, jak i na złe koniec jednakże przyjść musiał. Brak wytwórczości i niski stan kulturalny pchnęły arabów na morze, na zbójckie wyprawy; nawet przykład upadłej

Algeryi nie odstraszył band arabskich od niepokojenia granicy francuskiej, co doprowadzić musiało do obmyślenia sposobów zabezpieczających spokój Algeryi i co jednocześnie zainagurowało nową epokę w życiu nietylko politycznym, lecz i kulturalno-ekonomicznem Tunetanii. Tym czemś jest protektorat francuski nad krajem, przyjęty i podpisany przez beja Tunisu d. 12 Maja 1881 r. w Bardo pod Tunisem.



Tunetania. — Zamożny arab.

Protektorat francuski nad Tunetanią, to nietylko punkt zwrotny dla samej Tunetanii, która, acz łagodnie, przechodzi jednak wstrząśnienia sięgające najgłębszych podstaw jej bytu społecznego i wprowadza ją do społeczeństwa krajów cywilizowanych, lecz również i punkt zwrotny dla Francyi, która wstąpiła na nową drogę kolonizacyi, na drogę wypróbowaną przez Anglię, na drogę zupełnego poszanowania praw i je-

zyka krajowego, a pomimo to osiągnięcia celów swoich tak narodowej, jak handlowej i kulturalnej natury.

Sposób rozwiązania kwestyi Tunetańskiej okazał się nie tylko dobrym, ale nawet zdaje się zachęca francuzów do nowych prób z Marokkiem, o czem się już w ciszy gabinetów dyplomatycznych dużo mówi.

Jakie będą losy dalsze Tunetanii pod względem narodowościowym trudno przesądzać; trudno odgadnąć czy arab pod parciem cywilizacyi ustąpi, czy się ugnie i przyswoi ją sobie zupełnie, czy też, złamany jej ciężarem, padnie zdruzgotany. Tak czy inaczej chwila obecna dla bacznego obserwatora jest ciekawą i pouczającą, a pewnikiem niezbitym jest posuwanie się cywilizacyi w te kraje, skąd jej nic już wyprzeć nie zdoła.

Cztery strefy klimatyczne. — Ąkwadukty. — Pora deszczowa. — Susza. — Wodociągi.

„Tunetania to mała Algerya, tylko mniej górzysta, a więcej morska“ powiedział pewien podróżnik francuski, a ja dodam „więcej sucha“.

Słuszność takiego określenia staje się zupełną, jeżeli zwrócimy uwagę na tożsamość prawie stref tutaj odnajdowanych w porównaniu z zachodem, na tożsamość istnienia Sahełu, Tellu, płaskowzgórz i Sahary.

Sahel to najurodzajniejszy pas nadbrzeżny 12 do 15 kilometrów szeroki, posiadający najłagodniejszy klimat, pas najlepiej nadający się do kolonizacji, na którym najsilniej obecnie bije tętno życia, pas przyszłych największych tryumfów kultury.

Tell, to stoki gór i łagodne wzgórz tu i owdzie pokryte lasem, to grunty już dzisiaj nadające się pod winnice, a w przyszłości jeszcze silniej pod ludzką ręką na pewno się zazielenią.

Płaskowzgórz silnie rozwinięte w Algeryi, tworząc tam całą Kabylię, w Tunetanii, sprowadzają się do minimum, ale też i przedstawiają się nadzwyczaj mizernie: jest to krajobraz smutny, nagi, zdalny jedynie na pastwiska dla owiec i wielbłądów.

Nakoniec Sahara to kraj piasków, skał pokruszonych, pięknych oaz i szottów, czyli wyschłych słonych jezior błyszczących na dnie kryształkami soli.

Wszystkie te strefy tworzy wszędzie łańcuch gór Atlasu, który wystrzela najwyżej w Marokku, zniża się w Algeryi by w Tunetanii rwać się i kurczyć, a nareszcie zniknąć w falach morza Śródziemnego; stąd poszarpane brzegi, stąd oddzielne grupy gór po kraju porozrzucane, stąd pomiędzy temi grupami równiny lub nawet wysychające jeziora.

Powierzchnia byłaby nawet wskutek tego nienajgorzej nawadniana wieloma strumieniami, których łożyska bardzo licznie widnieją, cóż kiedy odległość od Atlantyku, a bliskość Sahary wysusza ziemię niezbyt obficie zraszana, zamyka dopływ wody do źródeł, osusza nawet przepelnione w czasie pory deszczowej jeziora.

Od niepamiętnych też czasów urodzajna z natury gleba podsuwała człowiekowi myśl sprowadzania wody z gór i z wzgórz dość odległych, do równin urodzajnych lecz suchych, lub do licznych miast rozsianych po starożytnej Numidii; nigdzie, wobec tego, nie można spotkać tylu starych zrujnowanych akwaduktów co tutaj.

Wśród licznych ruin, porozrzucanych po ziemi i odradka tylko strzelających jedną lub kilkoma kolumnami, wspaniałe linie akwaduktów stosunkowo najlepiej się dochowały; szeregi nieskończone łuków, wspartych na potężnych słupach, częstokroć rzucone podwójnie, wspaniałe panują nad marnemi resztkami innych ludzkich budowli, aż do dzisiaj dochowując wcieloną myśl inżynierów starożytnych, niepotrzebujących wstydzić się swojego dzieła.

Akwadukty idą, to prosto jak wystrzelił, dążąc najkrótszą drogą do zamierzonego celu (jak np. Kartagiński), to zakreśla-

ją poważne łuki, to wiją się w dość silnych skrętach, szukając drogi, na której najmniej pracy ludzkiej i materiału wydatkować wypadnie.



Tunis. — Zamożna arabka na ulicy.

Akwadukty były ongi nietylko potrzebą codzienną, lecz i ostatniem słowem techniki, szczytem myśli ludzkiej opartej na rachubie; obok artystycznych dzieł sztuki zaklętej w mar-

murach rzymskich świątyń, obok szeregów misternie kutych kolumn, otaczających wille patrycyuszów, obok przepysznych płaskorzeźb upiększających, fryzy, a chowających się ostrożnie pod wspaniałemi liniami architrawów, akwadukty były, niby pracowite kopciuszki, niemające do sztuki ani piękności żadnej pretensyi; prowadziły wodę odżywczą, wodę świeżą i górską, prowadziły do siedlisk myśli ludzkiej, do miast, orzeźwiając ciało i pobudzając twórczość.

Dzisiaj z misternych objawów ducha ludzkiego, z pięknych budowli leżą porzrzucone kamienie, leżą połamane bryły, w których dopiero oko archeologa piękność i treść dopatruje, a nad ich szczątkami łuki akwaduktów rysują się koronką swej budowy, stając się dopiero teraz, po tylu wiekach „sztuką piękną“, urozmaicając krajobraz.

*

*

*

W Tunetanii zimy niema, jest tylko łagodna pora deszczowa, od listopada do lutego. W tym czasie wyschłe łożyska rzek napełniają się wodą, górskie strumyki pienią się i szumią, a płytkie jeziora wypełnia woda, zmieniając kraj do niepoznania; rolnik cieszy się takiej odmianie, coprędzej kończy orkę i w grudniu rzuca ziarno w ziemię pewny dobrego i obfitego plonu; sieją owies, jęczmień, pszenicę, kukurydzę, hodują bydło i owce, uprawiają winnice i prowadzą drzewa cytrynowe i pomarańczowe.

W północnej części Tunetanii drzewa figowe można widzieć wszędzie, nieomal dziko rosnące, a granaty, niby wielkie rumiane jabłka, obwieszają małe drzewka, przypominając nasze owocowe ogrody; na południu, w bliskości Sahary, lub

w jej oazach daktyl króluje, a setki tysięcy palm stanowią majątek arabów.

Gdybyż piękna pora deszczowa, o temperaturze naszego maja mogła tu trwać zawsze, gdybyż urodzajna gleba mogła mieć stale tę wilgoć, jaką jej kilka zimowych miesięcy dostarcza, gdybyż zieloność mogła królować i stanowić tło krajobrazu rok cały? — Gdyby tak było — Tunetania byłaby rajem, a zaludnienie jej powinno by się równać najgęstszemu w Europie.

Ale tak nie jest: od maja zaczynają się pogody, w początkach pobudzające wspaniałą roślinność, w czerwcu zmuszające rolnika do sprzątania dojrzałych plonów z pola, a w lipcu zaczynają pracę wysuszania roślinności; sierpień i wrzesień to kulminacyjny punkt suszy, zamieniający zielone wzgórza w szare martwe stoki, wypalający ścierniska, że poznać na nich nie można uprawy i wysuszający płytkie, w ziemi mokre jeziora, zamieniając ich dna w istne pustynie, po których nawet, dla pełności złudzenia, karawany krajowców na wielbłądach, dla skrócenia drogi przechodzą, tworząc krajobraz Sahary; przytem wiatr południowy „sirocco“, od czasu do czasu dopełnia gorąca i suszy.

Jedynie drzewa i krzewy mogą tę porę przetrzymać, a nawet owocowe korzystają z niej, doprowadzając owoce do dojrzałości: daktyle i granaty w październiku i listopadzie dają pierwsze zbiory, cytryny i pomarańcze przetrzymują nawet owoc do nowego kwiatu, do pory deszczowej do grudnia i stycznia.

W takim klimacie, przy takich warunkach wiele zrobić można, ale jedynie przy skrzętnej i usilnej pracy. Tak jak u nas gospodarz wojuje z zimą i mrozem, z gradem lub deszczem, tak tutaj rolnik ma ciągłego wroga w suszy.

Nic też dziwnego, że dotychczas kraj dość pustynnie wygląda ledwie tu i owdzie kraszając się silniejszym zadrzewieniem, nic dziwnego, że lasy nie porastają całego Tellu, lecz jedynie w strzępach się ukazują, nic dziwnego, że gleba zaledwo w małej części jest pod uprawą; — arab tego nie mógł dokonać



Tunis. — Murzyn żebrak.

i czekał co mu sama nieomal natura łaskawie pod palącemi promieniami słońca oszczędzi.

Dzisiaj, zaledwo po 22-ch latach pracy rąk cywilizowanych, już widać, nie tyle co zrobiono, lecz co zrobić można, czego w przyszłości (po francuzach) można się tu spodziewać.

Czasy akwaduktów wytrwale dostarczających wody wprawdzie minęły, minął jednak i 1200-to letni okres próżniactwa arabskiego i ugorowania tej krainy.

Dzisiaj zamiast akwaduktów będą wodociągi, które w skutkach nie powstydzą się swych starożytnych poprzedników, dzięki zaś suchości klimatu Tunetania jest krajem najzdrowszym, wolnym od chorób, a jak podanie niesie i ludzie miejscowi twierdzą, śmierć przychodzi tu tylko ze starości.

Ludność. — Miasto Tunis. — Dzielnica europejska. —
Dzielnica arabska. — Strój.

Tunetania, kraj obszarem równy mniejwięcej Królestwu kongresowemu, kraj położony w zdrowym i ciepłym klimacie, mógłby wyżywić 5 razy większą ludność niż ją obecnie posiada, a jeżeli sądzić po ruinach, to przypuszczać należy, że za czasów rzymskich ludność także była gęstsza.

Dzisiaj stanowi bodaj najwięcej arabską część krajów Atlasu, będąc językowo prawie zupełnie jednolitą, za wyjątkiem Berberów w małej ilości przechowanych w górach na północ-zachodzie, bliżej granicy algerskiej pod nazwą krumirów.

Jednolitość języka pochodzi jednak tylko z powodu zamalgamowania pod panowaniem arabskim różnych ludów, tak miejscowych, jak i sztucznie sprowadzanych.

Ludność muzułmańską, mówiącą po arabsku obliczają na 1,700,000 dusz, składających się tak jak i w Algeryi z Maurów, rozrzuconych po miastach i wybrzeżach z turecka ubranych, z Arabów właściwych mieszkających w głębi kraju i na oazach, z Berberów, wreszcie z murzynów rozrzuconych w niezbyt wielkiej ilości.

Wśród typów miejsowych spotkać można rozmaite, wchłaniali bowiem Arabowie przez liczne wieki wszystkie obce

pierwiastki, najprzód te, jakie w VII-m wieku, po podboju kraju zastali, następnie przybywające z Europy w postaci niewolników porywanych przez korsarzy, wreszcie negrów specjalnie z głębi Afryki sprowadzanych. Widać wszędzie wielu mięszańców z jednej strony zbliżonych, cerą i rysami do europejczyków, z drugiej mulatów prawie zupełnie czarnych.

Tło krajowe arabskie dopełniają żydzi, noszący się do-
tąd przeważnie po arabsku i mówiący arabskim językiem, dopełniają jednak tylko pozornie, bo etnograficznie wśród tych mięszańców stanowią najczystszy element z trudnością odróżniany od otoczenia jedynie dzięki wspólności rasy semickiej z dawnymi swojemi panami; obliczają żydów na 100000 w dwóch odmianach: żydów liwornieńskich, zajętych wyłącznie handlem i osiadłych w miastach i żydów arabskich zatrudnionych drobnymi rzemiosłami i rozrzuconych potrochu wszędzie.

Oto jest tło krajowe, jakie protektorat francuski zastał w roku 1881, oto materiał ludzki, jakim ma rozporządzać w przyszłości. Wieleż jednakże jest obecnie tych europejczyków do rządzenia krajem przeznaczonych, jaką potęgą liczebną rozporządzają ci co tu prawdziwie cudowne zmiany wprowadzają?

Odpowiedź potwierdzi znaną prawdę, że jakkolwiek potęga tłumów jest wielką, bo posiada coś w rodzaju „duszy zbiorowej“, jest jednak wielką tylko wtedy, gdy masa ludności jest istotnie tłumem, jest gromadą ludzi w danej chwili jednomyślną; w rozproszeniu tłum taki nie ma żadnej odporności, jest biernym, poddając się do urabiania, jak wosk, jeżeli tylko nieposiada wyższości duchowej jednostek, któreby nim pokierować zdołały.

Ludność Tunetanii jest bierną, bo inicjatywa czynu,

podbudzona fanatyzmem, wyczerpała się w pierwszych wiekach panowania i podbojów i nic dzisiaj sile duchowej Europy przeciwstawić nie może; lud biedny muzulmański, niećwiczo-ny nigdy w pracy i nie podnoszony kulturalnie, grzęźnie w ciemnocie, krępowany w dodatku licznymi przepisami koranu, stawiającego barykady myśli i czynom na każdym kroku.

Cóż dziwnego że dzisiaj nad krajem w rzeczywistości panuje garstka francuzów 25 do 30000 głów licząca, wspiera-na przez około 70000 kolonistów włoskich, przeważnie sycylijczyków i maltańczyków; francuzi rządzą, zajmują najpierwsze posterunki, a włosi są ich narzędziem, bo arabami do żadnych reform postużyć się nie można.

Ażeby zapoznać się z wyglądem kraju idźmy do Tunisu, do stolicy 150000 mieszkańców liczącej, do miasta przyszłości, którego plan już na szeroką skalę zakreślono w słusznem przewidywaniu szybkiego rozrostu.

Miasto arabskie, z ciasnemi i krętymi uliczkami, przepę-
nionemi przykrym ludzkim zaduchem, jak wszystkie miasta arabskie, jak Tanger w Marokku nie umiało i w Tunisie zużytkować najważniejszej części terytorjum—nie umiało zużytkować wybrzeża, traktując go jako śmietnisko (takiemiż arabami niestety dotąd jesteśmy nad Wisłą). Francuzi od pierwszego rzutu oka spostrzegli tę piętę Achillesową i zaraz ją opanowali, pomimo to że Tunis leży właściwie nad zatoką, mającą postać płytkiego jeziora jednocześnie łączącego i oddzielającego go od morza; w pierwszych latach statki nie mogły nawet lądować w mieście i podpływały tylko do La Goulette, miasteczka nad prawdziwem morzem położonego.

Stan taki nie mógł trwać długo bo stolica nowej kolonii, musiała być portem dostępnym dla statków największych. Arabowie przez liczne wieki niepotrafili nawet zbudować wy-

brzeża nad płytkim jeziorem, a francuzi w kilka lat nietylko na tem wybrzeżu pobudowali piękną dzielnicę europejską ozdobioną alejami drzew i kwietnikami, nietylko wytknęli cały plan nowych ulic zapanowujących nad całym wybrzeżem, ale przez płytką zatokę przekopali kanał kilka kilometrów długi, po którym statki dopływają do portu, rozłożonego u samego miasta u stóp dzielnicy europejskiej.

Wspaniałe Avenue de la Marine, zaczęte skwerem z pomnikiem Juljusza Ferry, ciągnie się prostopadłe do portu wysadzone poczwórną linią drzew podzwrotnikowych, dzisiaj jeszcze młodych ale już dających niezgorszą ochronę od skwaru; na prawo i lewo krzyżują się ulice wysadzone również drzewami, aż nareszcie dochodzimy do placyku ze skwerem przed pałacem rezydencyi francuskiej i kościołem katedralnym. Dalej idzie ulica nieco węższa, ozdobiona pięknymi magazynami, ukrytymi pod arkadami (od pałacych promieni słońca), zakończona bramą starożytną w stylu nieco arabskim, która kładzie kres dzielnicy europejskiej, a zaczyna kręte uliczki dzielnicy arabskiej.

O ile przed tą bramą byliśmy otoczeni komfortem Europy i jedynie kręcący się wszędzie krajowcy nadawali ulicom wygląd afrykański, o tyle za bramą zaczynają się uliczki kręte i coraz węższe, zaledwie kilka łokci szerokie. Czem dalej w miasto, tem ciasniej, wreszcie wchodzimy w ulice pokryte dachem, tworzące bazar kupiecki zwany „suki“.

Różnobarwny tłum zwiększa się do tego stopnia, że się nieomal łokciami trzeba przepychać. Jesteśmy w „suku kobiet“ i widzimy szeregi przekupek zawołowanych, siedzących pod ścianami i tak już wąskiej uliczki wśród mizernego towaru porozkładanego na ziemi, a trzeba wiedzieć, że w Tunisie kobiety noszą czarne woale, odrzynające się żałobnie od białego stro-

ju okrywającego postać całkowicie, tylko białka oczów świecą z za czerni woala, upodabniając je do murzynek; z soku kobiet wchodzimy do soku tkackiego, galanteryjnego, spożywczego, perfumeryjnego i innych, błądzimy w prawdziwym labiryncie ciasnych korytarzy mniej lub więcej ozdobnie wyglądających, zależnie od towaru wokoło sprzedawanego.



Tunis. — Strój żydówek na ulicy—tusza uważa się za szczególną *
oznakę urody.

A wszędzie sklepy i kramy na prawo i lewo, wszędzie lady sklepików i arabowie siedzący w najdziwaczniejszych pozach, to na ziemi, to na pryczach w rodzaju ław, to na samych stołach, obok towaru rozłożonego dokoła; malowniczo to wygląda, ale nie zawsze ponętnie szczególnie w sklepach spożywczych, jak rzeźnicze, piekarskie, owocowe, cukiernicze i inne. Chociaż arabowie noszą się przeważnie biało i nie mo-

zna powiedzieć żeby brudno, to jednak trudno się pogodzić z sadowieniem się po turecku z podkulonemi gołemi nogami na stole tuż obok różnych przedmiotów przeznaczonych do jedzenia; sklepik jest zawsze bardzo ciasny, ledwie kramik, gołe więc nogi sprzedającego zaledwo paroma calami od towaru są oddzielone. Na takie drobnostki nikt tu jednak uwagi nie zwraca, a ruch handlowy i życie aż wre i kipi w tych ciasnych zaułkach i korytarzach.

Jakkolwiek dzielnica arabska jest rzeczywiście arabską, jednakże ludność europejska daleko silniej osiedla się tutaj wśród arabów niż w Algerze, daleko więcej widać zgodnego pożycia, daleko więcej spokoju i uprzejmości ze strony krajowców. Arab oswaja się szybko z cywilizacją francuzów, chętnie odwiedza nowożytną dzielnicę, chętnie jeździ koleją i tramwajem, na Avenue de la Marne i Avenue de France można widzieć masami pięknie postrojonych zamożnych arabów, przyglądających się błyszczącym wystawom sklepowym z miłą rozbawionych, a zaciekawionych dzieciaków; ich stroje i turbany mienia się od różnaitości kolorów od różnaitości form i kroju zawsze pięknego, zawsze wygodnego i do klimatu odpowiedniego.

Trzeba widzieć arabów pięknie przyodzianych, by im zazdrościć stroju; wszystko wolne, przewiewne i fałdziste, a wdzięcznie zarzucony przez ramię burнус czyni ich podobnymi do starożytnych rzymian; turban jedynie przypomina rzeczywistość i wydaje się nieco za ciężkim pod skwarnemi promieniami słońca południowego.

Strój kobiet także wolny i lekki zeszpeca u arabek szkaradny czarny woal, a u żydówek chodzących z odkrytymi twarzami, rodzaj szpiczastego pudełka umieszczonego na głowie wydłużając ją w rodzaj głowy cukru; jak jedne tak i drugie

chodzą niezgrabnie z powodu otyłości, piękność bowiem kobiety waży się tu na funty, a młode żydówki w okresie narzeczeństwa są specjalnie tuczone, by osiągnęły przed ślubem maximum wymaganej piękności. To też kobieta tak dużo nadająca szyku na bulwarach Paryża, a choćby i na ulicach Warszawy, kobieta, będąca okrasą naszych zebrań towarzyskich i miejsc publicznych, tutaj wcale ulic nie przyozdabia, kołysząc się ciężko na niepewnych nogach i przesuując niezgrabnie wśród pięknych męskich rośliwych postaci.

Tunis, d. 25 października 1903 r.

XXIV.

Hamмам-Lif. — Kartagina. — Kopalnia pamiątek. —
Cysterny. — „Ojcowie biali“. — Tryumf ducha
na odwiecznych gruzach.

Płytką zatokę tunetańską, zwaną El-Bahira, zamykają od strony morza dwa półwyspy, niby olbrzymie wrota broniące do stolicy przystępu.

Lewy górzysty półwysp strzela ku niebu dwoma szczytami pokrytymi zielenią, stanowiącemi tło dla miejscowości kąpielowej, rozłożonej u ich stóp, miejscowości posiadającej doskonałą plażę i letnie kąpiele dla bogatych tunetańczyków, miejscowości zwanej Hamмам-Lif będącej ucieczką przed letnimi upałami; mając znakomite warunki rozwoju, a nawet cieplice, Hamam-lif — to przyszłość, to plan szeroko zakreślony zupełnie jednak współczesny i europejski; można tu podziwiać energię francuzów i umiejętność tworzenia; po za pięknnością jednak krajobrazu, niema tu innego pokarmu dla ducha, jest tylko kąpiel, a więc proza, jest tylko terażniejszość.

Jakże odmiennie przedstawia się druga strona wrót Tunisu, druga strona zatoki; niema tam wprawdzie gór strzelających ku niebu, niema zieloności wspaniałej, są tylko pagórki, lecz jest tu poco przyjsć, jest co widzieć, jest nad czem pomyśleć.

Wysiadamy na malutkiej stacyjce kolei żelaznej (prowadzącej od Tunisu do la Goulette), na stacyjce rzuconej wśród pustkowiec, otoczonej jedynie eukaliptusami i kaktusami, ale nazwa sama tej stacyjki „Kartagina“ wystarczy by zaciekawic, by przyjezdnego poruszyć.

Widz, oswojony z ruinami Rzymu, co widział Forum romanum i Pompeję, wstąpiwszy na ziemię o 1000 lat starszą spodziewa się ujrzeć coś wspaniałego. Niestety, zawód go spotyka zupełny, nie napróżno bowiem tysiącolecia przeszły nad tą ziemią, by coś na wierzchu pozostawić; stara Kartagina Punicka legła w gruzach pod ręką rzymian i pozostawiła dla pamięci potomnych tylko *jedną* głęboką warstwę wykopalisk, Kartagina rzymska na nich się pobudowała i z kolei legła w gruzy, tworząc *drugi pokład*; po nad temi dwoma pokładami nic nie pozostało, wszystko z ziemią zrównane, zaorane i przez lat 1200 arabowie nawet się niedomyślali, uprawiając rolę, na jakim podłożu ta rola spoczywa.

Jedynie resztki akwaduktów, doprowadzających wodę do rzymskiej Kartaginy tu i owdzie sterczą nad ziemią, jedynie one w epoce arabskiej były świadkami zamierchłej przeszłości. Obok akwaduktów, a raczej u ich końca, na punkcie najwyższym starej Kartaginy, były pobudowane cysterny rzymskie, czyli zbiorniki podziemne dla wody przez też akwadukty przyprowadzanej i przechowującej się pod sklepieniami, pod ziemią dla chłodu i czystości.

Cysterny te, to coś w rodzaju naszych filtrów na Koszykach, bo stanowią cały szereg piwnic szerokich na 10 do 15 łokci, przesklepianych jednym łukiem kamiennym, do dzisiaj miejscami przechowanych; tu i owdzie sklepienia się zapadały i pootwierały wykopy, z których skorzystali arabo-

wie i gnieźdzą się pod starożytnymi sklepieniami ze swoim dobytkiem, żonami i dziećmi.

Cysterny, choć prawie ukryte pod ziemią, choć tylko tu i owdzie odrzynające się czarnością otwartych z boku podziemi, pokrytych śmiałymi rzymskimi sklepieniami, robią głębokie wrażenie, bo to coś tak do dzisiejszych stacyi filtrów podobnego, a w połączeniu z akwaduktami, tak żywo przypomi-



Tunis. — Strój żydówki w domu.

nającego nasze urządzenia wodociągowe, że mimowoli pytanie się rodzi kto i jak, w kolei rozwoju cywilizacyi, za lat 2000 będzie oglądał ruiny i szczątki naszych budowli, jeżeli te stare, mizerniejsze od terażniejszych, jednakże do dzisiaj się przechowały.

Jakem już powiedział, na powierzchni nic niema, bo dzisiejsza Kartagina, a raczej La Malga (arabska nazwa), to tylko

poła i ogrody oraz pod spodem—kopalnie pamiątek; kopalnie w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo prowadzone chodnikami podziemnymi w „pokładzie Kartagińskim punickim“ gdyż rzymski, leżący nad nim, jako młodszy, musi dłużej poczekać na swą kolej, bo dzisiaj stare zabytki punickie, jako najciekawsze, najcenniejsze i mniej od rzymskich znane, budzą więcej zainteresowania i wpraw na światło dzienne są wydobywane.

Archeologowie, prowadząc roboty sposobem chodnikowym, nie naruszają pokładów rzymskich i natrafiają na bardzo liczne szczątki punickie ukryte szczególnie obficie w grobowcach setkami pod ziemią znajdujących.

Kartagińczycy chowali ciała w pudłach drewnianych i kamiennych, zalewając jakąś żywicą w ten sposób, że cały szkielet oraz drobne kosztowności i naczynia, jakie zmarłemu do sarkofagów wkładali, są w tej żywicy zatopione; żywica dotąd wszystko znakomicie przechowała i dała możliwość posiadania tak delikatnych przedmiotów, jak sygnety z nacięciami do pieczętowania, jak drobne rzeźby i płaskorzeźby w licznych amuletach, jak monety, naczynia i małe lampki misternie ozdabiane i wiele, wiele innych.

Po nad pokładem punickim, tu i owdzie i warstwy rzymskie są poruszone, szczególnie tam gdzie dało się odkryć coś osobliwego; rzymskie jednak wykopaliska są tymczasem nędzne i nikłe, i nie mogą być porównywane z temi co z tej epoki gdzieindziej się znajduje; mają one jednak tutaj inne zabarwienie bo, będąc tak starożytnymi, że już podziw wzbudzają, leżą nad głębszemi poprzedniami, o wiele starszemi i w dodatku tak jak punickie sławnemi.

Jest coś potężnego, a głębokiego, co wstrząsa widzem, gdy stoi przed temi tysiącletnimi uwarstwieniami, przed

temi kopalniami ludzkich pamiątek, ludzkiej historyi, ducha i przeszłości; wszak nad dwoma warstwami już jest warstwa trzecia, arabska, wprawdzie nikła i niewiele znacząca, nieozdobi muzeów, ale jest i być musi bo 1200 lat, choćby tylko gospodarki rolnej, coś po sobie pozostawić musi; a nad tą trzecią poczyna narastać i czwarta francuska, a poczyna narastać wspaniale, bo będąc jeszcze młodziutką już porusza serce i budzi podziw.



Tunis. — Świeżo zbudowany pałac sprawiedliwości francuskiej w stylu maurytańsko-secesyjnym.

Na starem cmentarzysku 2500-letniem, na tyłu ludzkich pokładach, wznosi się piękna w stylu maurytańskim świątynia, a obok seminarjum i klasztor; świątynia na wzgórzu panuje nad starą Kartaginą nietylko swojemi murami, ale jeszcze większym i piękniejszym duchem.

W niej to osiedli „Ojcowie biali“, zakon założony przez kardynała Lavigerie, dobrodzieja Afryki; ojcowie biali, to ludzie o wielkiem sercu, którzy za cel życia obrali sobie oświe-

cać ludy, dotąd w ciemnocie lub niewolnictwie pozostające i nieść miłość i wiarę chrześcijańską w głąb Afryki.

Trzeba słyszeć z jaką czcią arabowie muzułmanie o nich się wyrażają, by nabrać przekonania, że pod białymi burnusami i czerwonymi fezami, bo tak jak arabowie są ubrani, biją serca szlachetne, że ci mężowie, to już tylko w części ludzie, a więcej aniołowie opiekuńczy Afryki; liczą ich dotąd do 150-ciu, ale zaledwie garstka na gruzach Kartaginy pozostaje, większość rozchodzi się wszędzie po czarnym lądzie.

O tyle są nawet wielcy i liberalni, że, przyjmując na wychowanie i kształcenie dzieci krajowców, nie wymagają od nich zmiany religii, twierdząc, że Bóg jest jeden, a zmiana wiary może być dokonaną jedynie na zasadzie własnej i niczem nie krępowanej woli.

Tak króluje Europa na tym skrawku ziemi użyźnionej tylu pokoleniami, tylu narodami, tylu duchami; tu, przez ręce „ojców białych“, zaszczepiła prawdziwy kwiat swej cywilizacji, kwiat swojego ducha, który jej chlubę przynosi nawet w przekonaniu tych dotychczas ciemnych mas, dla których powstał i zakwitł.

Okolice Tunisu. — Szosa do Bardo. — Malownicze
kontrasty.

Na gruzach Kartaginy a nawet z jej gruzów wybudowano miasteczko La Goulette, dawniejszy port Tunisu; na gruzach Kartaginy pobudowano koleje żelazne, szosy i drogi na tych więc drogach powstaje nowe życie; zbyt ono jednak szare, codzienne, by się nad niem warto zatrzymywać—tu cienie przeszłości jeszcze dla obcego przybysza królują.

A jednak okolicom Tunisu, we współczesnem rozumieniu rzeczy, warto poświęcić słów kilka, bo one, otaczając stolicę, dopełniają ją pod wieloma względami.

Tak jak w mieście widzimy mieszaninę ras, i bezpośrednio zetknięcie się świata europejskiego z muzułmańskim, tworzące obraz pełen barw i kontrastów nieomal impresyonistycznych, tak i po za bramami, też dwa światy stykają się nieustannie, tylko na tle natury, na tle szerokich widoków i zieleni.

Od strony morza—Radès i Hammam-Lif, miejsowości kąpielowe, połączone koleją żelazną i doskonałą szosą, ściągają patrycyat tunetański w lecie, w porze, gdy upały jedynie morzem i kąpielami łagodzone być mogą.

Obydwie te miejscowości są dopiero w zaczątkach, widzimy tu niejako, że tak rzec można, niemowlęctwo „plaż“ ba-
dów europejskich, pełnych wykwintu.

Znać że wszystko tu jest uplanowane, przewidziane, że
wszystko tu będzie w przyszłości, ale trzeba poczekać aż aleje
wysadzone palmami i mimozami, kwietniki i skwery, podrosną,



Tunetania. — Krumirka karmiąca dziecko.

aż puste place przeznaczone na wille się zabudują i otoczą zie-
lenią, aż stoki gór okolicznych zasadzone młodym zagajnikiem,
zamienią się w lesiste, chłodne, przyjemne spacery.

Doskonała piaszczysta plaża istnieje, a kapitały już po
części powkładano, bo stoją kurhausy i różne urządzenia ko-
niecznej potrzeby, wątpię tylko czy już teraz włożone kapita-

ły się rentują, czy nie trzeba im będzie jeszcze na to lat kilka poczekać...

Letnie upały wypędzają mieszczuchów nad morze, ale Tunis ma 2 pory roku, odmiennej wymagające willegiatury. Zima tutejsza, to okres zieleni i kwiatów, to pora odpowiadająca naszej wiosnie, naszemu majowi i czerwcowi, jakże ją więc można w murach miasta przepędzać?—To też i zimą tramwaj elektryczny wyprowadza z łatwością po za bruk uliczny, daleko po za ładne z arabska zbudowane bramy Tunisu.

Jesteśmy za miastem, na szerokim przestworzu, okraszonym zlekka pofalowanym gruntem i zaledwie w oddali, jakby dla dopełnienia obrazu, piętrzą się znaczniejsze góry.

Droga do Bardo, do rezydencji beja Tunisu, Jego Wysokości Mohamed-El-Hadi'ego, to dobrze bita szosa, zresztą taka jakie już po całym kraju w ważniejszych kierunkach francuzi poprzeprowadzali; tuż obok kolej żelazna i tramwaj elektryczny.

Pomimo europejskości szlaku wygląda on egzotycznie, a to z powodu krajobrazu, ubranego domkami białymi o płaskich dachach, większemi willami, zdobnemi w półkoliste arabskie białe także kopułki, z powodu roślinności zupełnie odmiennej, wreszcie z powodu wyglądu samego ruchu na szosie.

Jedzie, na przykład, piękna karetka; uprząż angielska, a woźnica w swoim malowniczym stroju; z okienka wychyla się turban, a w głębi widać parę fezów czerwonych, z metalowymi eblematami wojskowemi; panowie w fezach, ubrani w złotem haftowane mundury, zdradzają, że pojazd należy do świty beja. Karetka dopędza inną grupę, szarą i nędzną, nawet mocno brudną, ale dla świeżo przybyłego ciekawą, ze względu na swoją odmienność, bo to karawana wielbłądów w towarzy-

stwie osłów i kóz; przybyła ona z rana do miasta, dostarczyła owoców i jarzyn, a obecnie powraca do domu; kilku arabsów okrytych białymi burnusami siedzi bokiem (po damsku) na osłach i, popędzając ich uderzeniem bosych pięt po bokach, a, od czasu do czasu, wydając gardłowy krzyk „yrra“, ma całą karawanę zachęcać do chodu.

Wielbłądy kroczą powoli, kołysząc poważnie łbami na giętkich szyjach; przy całej wielkości cielska, długości nóg



Tunis. — Tancerka beduińska.

i szyi, w spojrzeniu małych, ale rozumnych oczów, ocienionych długimi rzęsami, mają coś nad wyraz łagodnego i sympatycznego; poczciwe czworonogi, te okręty pustyni, nieoszacowane dla arabsów zwierzęta domowe, widzi się tu wszędzie; w rannych godzinach przechodzą grupami nawet przez najpryncypalniejsze europejskie ulice, właściwe jednak tło dla nich jest za miastem, w pochodzie, gdy majestatyczną postawą i ruchami nadają krajobrazowi właściwy charakter.

Nasza karawana na szosie do Bardo, pomimo prostoty ubiorów poganiaczy, siedzących na osłach, dobrze się przedstawia, szczególnie gdy dla przepuszczenia karety wyciągnęła się w sznur i sylwetki wielbłądów wyraźnie odrzynają się od szlaku.

Idąc dalej bielejącym pasem szosowym, na chwilę zapominamy o Afryce i wielbłądach, bo cywilizacja i europejska technika zajmuje w całości naszą uwagę.—Naprawiają szosę.—Robota idzie porządnie, grube warstwy szabru leżą równo ułożone, a potężna machina-lokomobila z wielkimi wałami gniotownikami, sapiąc, charcząc i zgrzytając zamienia rozsypane kostki kamienne w równą jak stół szosę, przypominając, że, pomimo egzotyczności krajobrazu, panuje już tu Europa, a dzielna ręka inżynierzy wyciąga się aż do krańców pustyni.

Ledwie ucichły odgłosy miażdżonych kamieni i warkot kół maszyny, a już widzimy naprzeciw jadącą z szykiem dwukołową „biedkę“, a na niej 2-ch młodych pięknie ustrojonych arabów,—z tyłu forys murzynek; białe burnusy lekko zarzucone na ramię odkrywają błękity domowego ubrania, lekkie pantofelki lakierowane na nogach, białe pończochy, w poprzek pas amarantowy fałdzisty, a na głowie fez pąsowy z chwastem wiatrem unoszonym.

Szosa, bieląc się pasmem szerokim, ginie w oddali, a po bokach wznoszą się żywopłoty kaktusowe, dosięgające niemal piętrowej wysokości, obrzucone dojrzewającym żółtawo-różowym soczystym owocem; w oddali widać, gaje oliwne, wierzchołki palm zdobnych w pióropusze, szczególnie dobrze odcinające się na tle białych willi arabskich i półkolistych kopulek, stanowiących nieodzowną część każdej piękniejszej arabskiej budowli.

Dojeżdżamy do Bardo, zimowej rezydencji beja. Składa się ona z 2-ch części: jednej przebudowanej z dawnego zamku, mogącej rościć pretensje nawet do piękności, z powodu stylowych budowli, kolumnad maurytańskich i mozaik, przeznaczonej jednak tylko na oficjalne przyjęcia w salach tronowej i sądowej, a na muzeum starożytności w apartamentach dawnego haremu beja i z drugiej, daleko brzydszej, a nawet niczem wybitnem się nie odznaczającej, pomieszczonej w osobnym ogrodzie i przeznaczonej na właściwą rezydencję, w której obecnie bej mieszka.

Snać nie chciał się posłużyć w prywatnej rezydencji budowniczym i ogrodnikiem europejskim, śnać przygotowali mu to zimowe mieszkanie sami arabowie, bo wygląda to nieosobliwie, a każda nasza pańska rezydencja więcej może mieć pretensyi do gustu i piękności.

O kilka kilometrów za Bardo leży jeszcze miejscowość Manuba, gdzie również zimę przepędzają wszyscy dygnitarze, tak francuscy jak arabscy, w swoich willach mniej lub więcej ozdobnych.

Kto nie może jednak miasta opuszczać, nie jest pozbawiony zieleni i powietrza: tuż za dzielnicą europejską, tuż po za wytkniętymi ulicami, a więc z czasem prawie w samym mieście, założono park, zwany Belwederem. Kiedy się on dobrze rozkrzewi i rozrośnie będzie wspaniały, bo obszarem przewyższa kilka razy nasze Łazienki, a zajmuje całe obszerne wzgórze panujące nad miastem, zatoką i morzem; widoki też rzeczywiście belwederskie, szerokie, wprost rozmarzające.

U stóp tego wzgórza leży miasto białe, „wschodnie“ ze swemi minaretami i meczetami, niedostępnemi dotąd dla oka europejskiego, ze swemi krętymi uliczkami i „sukami“, z płaskie-

mi białymi dachami i kopułkami, dalej szaro zarysowuje się dzielnica europejska, prostymi zielonemi pasami znacząc nowożytnie francuskie „avenue“ i bulwary, dalej i niżej zatoka i port usiany statkami wielkiego kalibru, kanał morski przerywany dwoma niteczkami swych grobli obszerną zatokę i dobiegający do wrót morskich, pilnowanych z lewa przez wzgórze Kartaginy, przez Katedrę Ojców Białych i mury La Goulette, a z prawa przez wyniosłe szczyty panujące nad



Tunis. — Wnętrze sali sprawiedliwości w pałacu beja.

Hammam-Lif; po za temi naturalnemi, a potężnemi wrotami, fale morza otwartego, morza, mieniącego się kolorami od zielonego aż do błękitu, u horyzontu zlewającego się z niebios sklepieniem.

Dla takich widoków warto było na wzgórzach belwederu pobudować śliczne maurytańskie gloryety pozwalające, spoczywając; marzyć o tem co się dzieje na dole, o tych przewrotach jakie się dokonywają, o tej ciągłej ewolucyi świata, która się ciągnie aż w wieczność.

A kręte o łagodnych spadkach ulice belwederu nęcą zarostami, nęcą barwami kwiatów i różnorodnością roślinności podzwrotnikowej, a z miasta u stóp leżącego dolatują delikatne odgłosy niby z olbrzymiego mrowiska...

Miasto święte arabów. — Meczet Sidi Okba. —
Produkcye braci Āissaua.

Kto chce mieć przybliżone pojęcie nietylko o stolicy Tunetanii, ale i o wnętrzu kraju, musi widzieć przynajmniej Kairwan, święte miasto arabów, założone zaraz po podboju kraju w VII-m wieku i posiadające w swoich murach w meczecie Sidi-Saheb świętą brodę proroka.

Kairwan leży w okolicy, jakkolwiek jeszcze uprawianej, ale już bardzo suchej i monotonnej; miasto rzucone na otwartej pustynnej płaszczynie, otoczone 10-o metrowej wysokości zębatymi murami, wygląda ponuro i posiada bardzo oryginalny arabski charakter; dość ludne, 30000 głów liczy, przedstawia się pozornie więcej dziko, więcej krajowo niż nawet marokkański Tanger pełen hiszpanów i różnych europejczyków.

Gdyby nie wojsko francuskie, które tu konsystuje i dodaje pewności siebie przybyłemu turyście, czułby się on bardzo osamotnionym i bezradnym wśród tłumów mużłmańskich, bo małej garstki urzędników i kilku setek europejczyków, tu i owdzie zatrudnionych, prawie że nie widać.

Gdyby nie dowody wyraźne cywilizacji francuskiej w postaci wodociągów, tu i owdzie bruków, poczty i wreszcie przed

paru laty przeprowadzonej kolei, miasto wyglądałoby prawdopodobnie jak przed wiekami, przechowując ze wschodnim konserwatyzmem wszystko bez zmiany. W tem leży przyczyna dlaczego tu warto przyjechać i dlaczego warto stąpić na to pustkowie notując w pamięci co się widziało.

Kairwan, to miasto święte, meczetów więc przeważnie drobnych i niewidocznych, posiada podobno więcej niż setkę, dużych jednak tylko cztery.



Tunetania. — Namioty beduinów.

Dżamja Sidi-Okba króluje wielkością i wiekiem. Założona równocześnie z miastem, zaraz po podboju kraju, nosi na sobie wyraźne ślady tego podboju; przed właściwym meczetem, składającym się, jak zwykle z niezliczonej ilości kolumn pokrytych sklepieniem, i imitujących pierwotny namiot arabski, nakrywający zebranych wiernych, zarezerwowano wielki podwórzec, otoczony kolumnadą i ozdobiony czworokątnym minaretem. Oko widza tak we wnętrzu wśród lasu

kolumn, jak i kolumnadzie podwórza dostrzega w pierwszej chwili jakieś niedokładności, które po bliższem przyjrzeniu się objaśniają się tem, że kolumny nie są jednakowe i jednocześnie zrobione, lecz stanowią jakąś zbieraninę pościaganą z innych budowli rzymskich na ten cel rozebranych: jedna kolumna wyższa, druga niższa nadsztukowana niewłaściwą bazą, obok stoi trzon kolumny przyozdobiony w kapitel wzięty od cieńszej, dalej różna zbieranina baz, a nawet trafiają się kolumny bez bazy, kapitele korynckie pomieszane z jońskimi, wreszcie trzony kanelurowane (rowkowane) obok gładkich.

Schody prowadzące na minaret, mają nędznie sklecone marmurowe stopnie, ale pośród nich znajdują się stopnie ozdobne pięknymi rzymskimi płaskorzeźbami, po których nogi „wiernych“ deptają wieki całe, niby po zwykłym kamieniu, w murach wreszcie spostrzegać się dają duże bloki marmurowe z napisami rzymskimi, użyte jako zwykły materiał budowlany, a napisy łacińskie często leżą do góry nogami. Słowem istny pociejów, lub lepiej, istna nora zbójcka, wystawiona chyba na to by przechować do dzisiaj oczywisty dowód barbarzyństwa arabów i sposobu w jakim zaczęli gospodarować w VII-m wieku w podbitym kraju rzymską kwitnącym kulturą.

Dzisiaj cała Tunetania, to kraj ruin rzymskich, ale w wieku VII-m te ruiny były prawdopodobnie choć w części jeszcze pałacami, a grabież kolumn do meczetu w tak wielkiej ilości dokonana daje pojęcie wiele to pięknych budowli paść musiało ofiarą, by powstał wielki, niezgrabny i marnie sklecony meczet.

Wielki meczet Sidi-Okba to istny symbol panowania arabów, a jego budowa, to upostaciowanie ich gospodarki organizacyjnej.

Gospodarka zresztą ta i grabież rzymskich budowli nie-
Gdzieindziej.

się będą, jak zawsze co tydzień, bracia Aissaua, stowarzyszenie religijne, bardzo rzadkie i bardzo szanowane wśród arabów. Jestto rodzaj fakirów muzułmańskich prócz Kairwanu i El-Dżijem nigdzie prawie w całej Tunetanii się nie produkujących, rodzaj zakonników obdarzonych szczególną cudowną łaską Allaha.

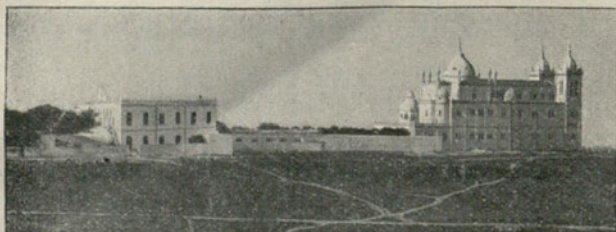
Meczecik niewielki przykryty kopułą, a wścianie bocznej kraty żelazna, po za którą widać skupione żeńskie postacie, przybyłe dla przypatrzenia się produkcjom, choćby z za kraty, bo do meczetu kobietom wchodzić nie wolno; na środku pod kopułą, na ziemi siedzi po turecku z podkulonemi nogami grono mężczyzn w różnym wieku i wyrabia różnego rodzaju krzyki.

Nazywa się to muzyką i śpiewem, a jest tylko nieznośnym bębnieniem, brząkaniem, łomotem, krzykiem i piskiem; ledwie z trudnością jaki taki rytm można uchwycić, bo właściwie ta muzyka, to namiętny, straszny hałas, zdolny przypawić o ból głowy: członkowie zgromadzenia jeden przez drugiego chcą się przekrzyczeć i przebębnić. Po pół godzinie takiego hałasu, nagle, wszystko ucicha i z grona siedzących powstaje mąż najstarszy, „szeik“ i ustawia się naprzeciw muzykantów, zasłaniając sobą od wewnątrz drzwi meczetu; obok niego staje drugi, trzeci, staje wreszcie cały szereg i, stanowiąc jedną zwartą linię, zaczyna rytmiczne przytupywanie zbiorowe nogami w takt pseudo-muzyki grona siedzącego w środku.

Kołysanie się szeregu mężczyzn staje się coraz szybsze, namiętniejsze, przytupywanie z wyrzucaniem jednej nogi naprzód coraz silniejsze z jednoczesnym pochylaniem głowy, wreszcie w takt przytupywania wydaje się zbiorowo coś w rodzaju głuchego charcotliwego ryku, który ich widocznie coraz silniej roznamiętnia; oczy błyszczą, ciała kołyszą się w takt

coraz silniej, a z za kraty kobiety uradowane tem ożywieniem, wydają głosy cieniutkie, podbudzając jeszcze silniej sławnych „braci“.

Naraz z szeregu wyrywa się ze skowykiem kilku mężczyzn, biega jakby w szaleństwie w około, wydając głuche jęki, zrzuca z głowy fezy i zaczyna szalony ruch głowami, zataczając nimi koła na nieruchomych tułowiach; długie włosy, niby miotły rozwichrzone, w kosmykach wężowatych, zataczają kręgi jeszcze wyżej, aż roznamiętnieni braciszkwowie chwytają za sztylety, wiszące na ścianie, przebijają sobie po-



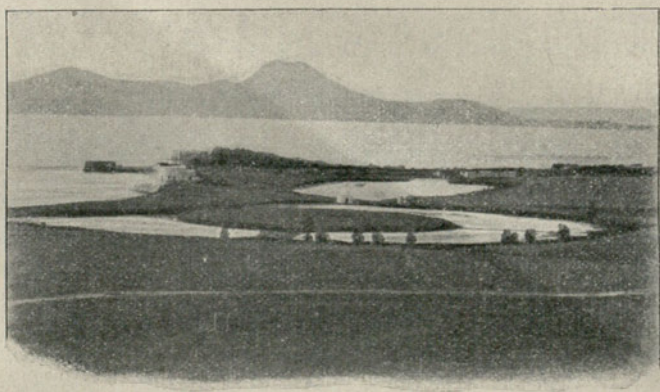
Kartagina. — Katedra „Ojców białych“ zbudowana na odwiecznych gruzach.

liczki na wylot, przeciągając je nawskroś przez usta; w takiej postaci ze sztyletami wykonywują znów zawrotne ruchy głowy, aż wreszcie wyczerpani i osłabieni przybiegają po jednemu do szejka, prosząc spojrzeniem, by im wyjął narzędzie męki; szejik delikatnie to uskutecznia, poczem braciszek z płaczem i jękiem z bólu rzuca się mu w objęcia, a szejik, niby czuły ojciec, jakiś czas trzyma go w ramionach, chcąc osłodzić ból i mękę.

Nagle wyskakują inni mężczyźni z temiż samemi oznakami szaleństwa, rozbierają się do pasa, chwytają po dwa miecze i wciskają je w siebie po nad brzuchem w gołe ciało;

niedość tego, rzucają się pod naszemi nogami na ziemię, kładą na wznak, a inni wbijają obuchem obydwu miecze we wnętrzości; delikwent wije się z bólu i jęczy, wreszcie zrywa się i biegnie z utkwionym mieczem do szejka by znów ulżył jego boleści.

Innemu pokazują z daleka, wysoko, skorpioną żywego. Pobudzony tym widokiem skacze do góry, niby pies, szczęką zębami, wije się i rzuca na ziemię, skręca w kłębek, wreszcie



Kartagina. — Ślady starożytnego sławnego portu.

w szalonym podskoku chwyta zębami skorpioną i połyka go momentalnie, umykając skurczony w kąt meczetu. Jeszcze inni jedzą i połykają kaktusy, szkło, a wszystko dzieje się jednocześnie w rozmaitych kątach meczetu, przy akompaniamencie piekielnego hałasu i namiętnych krzyków kobiet. Oczywiście nie wiedzą gdzie patrzeć, bo produkcyę robią się nie dla widzów, lecz z fanatyzmu dla siebie.

Słyszałem o braciach Aissaua już dawno, czytałem lepsze niż mój opisy ich produkcyi, nie mogłem jednak sobie

wyobrazić tego na com patrzył osobiście; tak wielki fanatyzm graniczy tylko ze zbydłęcieniem zupełnem, cóż więc można sądzić o religii, tolerującej podobne praktyki i o ludzie, który wydaje ze swojego łona podobne stowarzyszenia, by je w następstwie otaczać czcią, poszanowaniem i uznaniem?

XXVII.

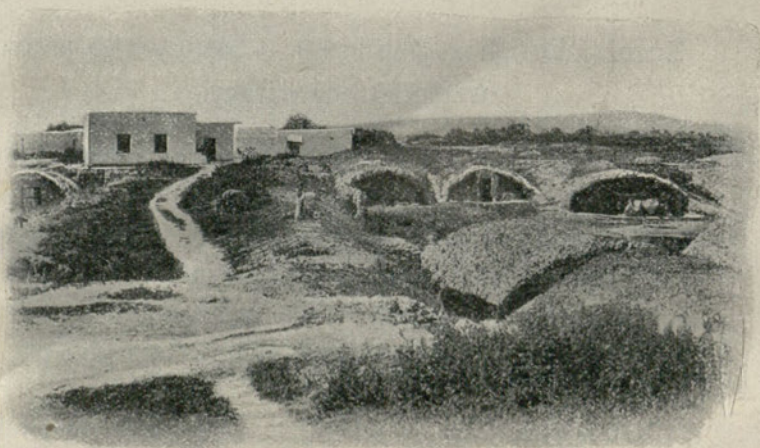
Suza. — Droga w głąb kraju. — Stanowisko araba względem cywilizacji.

Zaledwie o dwie i pół godziny koleją od Kairwanu, nad morzem, leży miasto Suza. Rozłożone amfiteatralnie na wyniosłym brzegu, otoczone tak samo jak Kairwan zębatymi murami, miasto arabskie nie przedstawia już po Kairwanie nic ciekawego; jak zwykle, arabowie nie umieli skorzystać z wybrzeża, a mury zasłaniają miasto tak samo od strony morza, jak i lądu.

Suza była jeszcze w przeszłym wieku gniazdem piratów tunetańskich, zapewne dobrych żeglarzy, a pomimo to nie zdobyła się w tym okresie na żaden port; trzeba było dopiero francuzów by pokazać czem Suza być może i powinna.

Przed kilku laty zbudowano port pierwszorzędny, rzucając w morze 2 tamy kamienne po 600 metrów długości, a w jego okolicach znajduje się również stacya kolei, poczta, telegraf i inne współczesne urządzenia; również po za murami istnieje już cała dość obszerna dzielnica europejska, ozdobiona pięknymi ulicami, skwerami i alejami drzew i wytwarza się nowa dzielnica portowa, a do miasta starego idzie się właściwie tylko dla obejrzenia starzejącego się zabytku.

Ilością mieszkańców równa Kairwanowi, jest Suza czemś odmiennem. Podczas gdy pierwszy, dzięki konserwyzmowi i fanatyzmowi wyraźnie okazuje tendencję zmumifikowania, do pozostania czemś skostniałem, godnem widzenia jedynie dla swej oryginalności, druga jest miastem jutrzejszem, miastem pięknem, miastem handlowem, naturalnie tylko w dzielnicy europejskiej i porcie; nawet wychodzący tu dziennik



Kartagina. — Ruiny cystern starożytnych, położonych na wzgórzu i zasilających niegdyś za pomocą akwaduktów całe miasto wodą. Pod rzymskimi sklepieniami gnieźdzą się arabowie.

francuski nosi nazwę „L'Avnir de Sousse”, wskazując wyraźnie na przyszłość, a nie terażniejszość miasta.

Niezależnie od tego, że przyszłość Suzy może być nawet świetną, dzięki portowi, leżącemu przy szlaku wodnym, idącym do kanału Suezkiego i terażniejszość już ładnie wygląda, szczególnie dzięki długim zadrzewionym bulwarom, otaczającym stare mury dokoła, licznym bardzo gajom oliwnym, stanowiącym wieniec kilkukilometrowej szerokości, wreszcie

pod względem przemysłowym, dzięki licznym tłoczniom i rafineryom oliwy mnogimi kominami znaczącym swe istnienie nad wybrzeżem.

Zapomnijmy jednak na chwilę o miastach i przyjrzyjmy się okolicy, którą przebyć należało, jadąc z Tunisu do Suzy i dalej do Kairwanu.

Zaraz za Hammam-Lif zaczyna się przestrzeń otwarta o gruncie ledwie falistym, przestrzeń zielona i uprawna—bo to dobra Feliksa Potin, prowadzone wzorowo, produkujące zboże, siano, oliwki, wino, hodujące bydło, owce, muły i konie rasowe. Nieco dalej zaczynają się znów kolosalne dobra Enfidaville, należące obecnie do Towarzystwa Franko-Afrykańskiego, obejmujące obszar równy naszym kilkudziesięciu tysiącom włók; [przez to małe państewko jedzie się koleją kilkadziesiąt kilometrów, zatrzymując się trzy razy na dużych stacyach Bu-Fisza, Enfidaville i Menzel; dobrami, nabytymi od Ker-Ed-Dina, dawnego ministra beja, Towarzystwo administruje samodzielnie, a dzięki obszarom, jakie zajmują, majątki te odegrają zapewne poważną rolę w historii kolonizacji francuskiej Tunetanii.]³

Teren dóbr należy do najurodzajniejszych i najbogatszych, a za czasów rzymskich był tak gęsto zaludniony, że na dzisiejszym obszarze stwierdzono już istnienie 17 ruin po miastach, liczących nie mniej niż po 10000 mieszkańców, a jeden z historyków rzymskich powiada, że od Kartaginy (a więc i Tunisu) aż do Hadrumedy (dzisiejszej Suzy) można było niegdyś iść bezustanku w cieniu drzew otaczający ~~ch~~ wille i zlewających się w jeden ogród.

Trzeba wierzyć historii, a jeszcze więcej ruinom, które słowa historyka potwierdzają, a jednakże wygląd dzisiejszy tego szlaku, jakkolwiek uprawny i pozostający pod ręką euro-

pejskiego Towarzystwa, jakkolwiek już zapewne wiele lepszy niż dawniej, jest tak monotony, tak pusty i niezadrzewiony, że myśl mimowoli pracuje nad rozwiązaniem zagadki, czemu dzisiaj tak nie jest jak dawniej bywało, czemu kraj tak odmienną ma postać.

Też same myśli, też same niewyjaśnione pytania nie opuszczają nas i za Suzą, na drodze do Kairwanu, a nawet w najbliższej okolicy miasta świętego.



Tunetania. — Plac targowy w świętem mieście Kairwanie.

Od Suzy, w miarę oddalania się od brzegu i zapuszczania w głąb lądu, okolica staje się jeszcze więcej monotonną, bezdrzewną i otwartą, a grunt usiany coraz większą ilością krzaków cierni, rozrzuconych kępkami po całym obszarze; tu i owdzie przebywamy po mostach głębokie parowy, obecnie zupełnie suche, bezwodne, które jednakże są łożyskami rzek toczących wody tylko w zimie, w porze deszczowej; głębokość parowów dowodzi, że wody długie wieki żłobić musiały te brzegi, niosąc muł i piasek do morza, że nawadniały oko-

licę lepiej niż dzisiaj, że nie zawsze kraj tak jak dzisiaj wyglądał.

Historyk arabski, pisząc o założeniu miasta Kairwanu w r. 671 przez Sidi-Okbę, notuje, że miasto święte zostało ufundowane wśród nieprzebitego lasu pełnego dzikich zwierząt i węzów, a w dalszej głębi kraju w kierunku granicy algerskiej i Tebesy, na przestrzeni paruset kilometrów, na gruntach dzisiaj zupełnie nie uprawianych prawie pustynnych, istnieje mnóstwo ruin rzymskich, dowodzących, że nawet tam musiało być inaczej, musiały być okolice zamieszkałe, zadrzewione i uprawne.

Obecni badacze francuscy na podstawie tych ruin i urodzajności gleby, robią przypuszczenia, że ziemie za Kairwanem tylko czekają rąk francuzów, by na nowo zaludnić się i zakwitnąć.

Wielkie a niezaspokojone pytanie dlaczego to co widzimy dzisiaj tak jest odmienne od tego co było za czasów rzymskich pod względem kulturalnym, nigdzie tak silnie nie występuje, nigdzie nie domaga się tak natarczywie odpowiedzi jak w Tunetanii.

Ten kraj ruin nosi na sobie tyle dowodów kwitnącej niegdyś cywilizacji tam gdzie dzisiaj jej nie ma, że zbyt musielibyśmy obwiniać arabsów przypisując im samym *całkowitą* winę zupełnego cofnięcia się życia z niektórych miejscowości, a upadku myśli ludzkiej i kultury w innych.

Arab jest bezwątpienia winien tego stanu, jaki widzimy wokoło, sądzę jednak, iż musiała być głębszą przyczyną klimatyczna, która działając powoli sprowadziła arabsów, jak chwast dziki, który, chociaż nędznie, może się jednak plenić tam, gdzie już nie ma warunków dla roślin szlachetnych.

Na południu od Tunetanii, to już Sahara, już zupełny zanik życia i kultury, Numidya więc stara stała niejako na straży wielkiej rzymskiej cywilizacji i pierwsza paść musiała ofiarą odmiennych warunków pchających tę cywilizację ku północy.

Dzisiaj, gdy odczuwać się daje brask nowego życia, pierwsze ruchy fali powrotnej, już chwast arabski nie jest w stanie oprzeć się napływowi z północy i z wolna ustępuje.

Wieków naturalnie będzie potrzeba, by to, co kwitło dawniej zakwitło na nowo, ale właściwie ta świetna przeszłość, ta tajemnicza ewolucya naturalna, to ugorowanie całego kraju, daje prawie pewność, że cywilizacja już stąd nie będzie wyrugowana, aż póki nie wypowie swego ostatniego słowa i bodaj nie przewyższy o wiele tego co było za czasów cesarów.

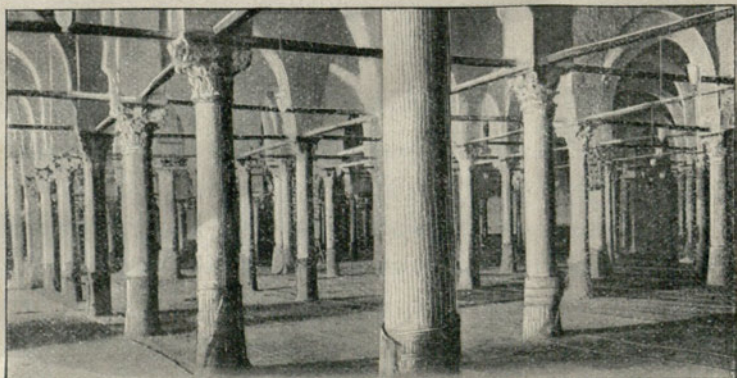
Rok 1881. — Protektorat francuski. — Bej Tunisu. —
Przyszłość krajowców.

Rok 1881-szy to wielki rok, to era w historii Tunetanii, to data, która nawet w dalekiej przyszłości będzie dobrze pamiętana; przed nią wszystko było skostniałe, po niej, przy istnieniu pozornym dawnych praw, bez wojny, sposobem pokojowym, niby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wszystko się odmienia, zaczynając od wyglądu miast i brzegów, a kończąc na ogólnej fizyognomii kraju. Przyjrzyjmyż się tej różdżce, zdolnej sprowadzić te zmiany, bo jakkolwiek czarodziejską można ją nazwać, jest ona tylko „traktatem protektoratowym“, zawartym pomiędzy bejem a Francją.

Bej był panem życia i mienia poddanych, a siedział jednocześnie w długach żydowskich, płacąc po 15% i 20% od sta rocznie. Od czasu do czasu, chcąc się z długów otrząsnąć, za podszeptem usługnych kredytorów, upatrywał winę to w tych, to w owych ze swoich bogatszych poddanych, nibyto za karę, posyłał ich na łono proroka, a mienie zasilalo skarb bejowski, choć de facto szło zaraz do żydów za zaległe procenty. Żydzi też byli i są dotychczas znienawidzeni przez ludność tutejszą, bo zawsze, stosując się do odwiecznej zasa-

dy, trzymali z tym kto dusi przeciwko słabym i duszonym, a zajmowali się lichwą, poczynając od góry, od beja, a kończąc na ostatniej biedocie.

Szeikowie i kaidowie w liczbie 13-u sprawowali rządy w kraju podzielonym na tyleż prowincyi, a wobec zupełnego braku komunikacyi, wobec bezładu i bezrządu, jaki panował w stolicy, rządzili na swój sposób despotycznie, tucząc się w szczuplejszem kółku mieniem ludności.



Tunetania. Wnętrze meczetu „Sidi-Okba“ w Kairwanie.

Pośród własności miejskiej i wiejskiej panował również wielki chaos, a właściciele rzadko posiadali jakieś piśmienne dowody posesyjne. Jedynie potężna i bogata administracya dóbr duchownych zwanych „habus“, którego dochody obrały się na budowę meczetów, na opłatę marabutów (duchownych), na szkoły muzułmańskie i wreszcie na wspieranie biednych, miała jaką taką lepszą organizacyę, a majątki te stanowiły majorat t. j. dobra, których nikomu sprzedać nie

wolno; rosły też one stale dzięki różnym pobożnym zapisom możnych obywateli.

Protektorat francuski, jakkolwiek wymuszony przez francuzów na beju, jednakże od początku miał i ma charakter przyjacielski; Francya stała się opiekunką słabego przyjaciela, a zarazem podjęła się być jego nauczycielem w sprawach stosowania nowożytnej cywilizacyi w jego kraju; na tym gruncie rzecz stawiając, musiała uszanować wszystkie stare prawa i obyczaje, obiecując wprowadzać zmiany bez obrażania uczuć religijnych fanatycznej ludności.

Zadanie pozornie bardzo trudne, a dla beja wydające się czemś, co pozostanie prawie martwą literą, w praktyce zostało rozwiązane nadzwyczaj zręcznie i szczęśliwie.

Bezpośrednim niejako towarzyszem i opiekunem beja został rezydent francuski, obecnie p. Pichon, którego obowiązkiem—czuwanie nad ścisłym wykonywaniem traktatu zawartego z Francją; rezydent jest jednocześnie obowiązkowo ministrem spraw zagranicznych beja i prezydentem rady ministrów.

Rada ministrów składa się znów z ministra wojny, obowiązkowo francuza, a mianowicie komendanta wszystkich wojsk francuskich konsystujących w Tunetanii, oraz z dwóch ministrów arabsów o szumnych tytułach „pierwszego ministra“ i „ministra sekretarza“, a de facto nie mających prawie żadnego znaczenia.

Ministerya finansów, robót publicznych, oświaty, rolnictwa, poczt i telegrafów nie posiadają osobnych ministrów, a jedynie szefowie czyli dyrektorowie tych urzędów zasiadają z prawem głosu w radzie ministrów.

Na prowincyi, 13-tu kaidów i szejków pozostało na swo-

ich miejscach, otrzymując znów doradców a właściwie aniołów stróżów w osobach „kontrolerów“ francuskich.

Sądownictwo arabów w sprawach religijnych, a nawet w sprawach cywilnych pomiędzy nimi samymi, pozostało w całości w ręku „kadich“, a na nowo założono trybunały osobne dla francuzów, lub dla spraw pomiędzy krajowcami a Europejczykami.

Prawo własności, o ile właściciel dotychczasowy mógł się wylegitymować, lub o ile 30-o letnie nie nastąpi przedaw-



Tunetania. — Brama wjazdowa do Kairwanu.

nienie, a w tym okresie nikt nie zaproponuje przeciwko obecnemu właścicielowi, zostało poręczone i uszanowane.

Uporządkowanie spraw finansowych beja samego i ustanowienie listy cywilnej, było problemem dość trudnym do rozwiązania, wobec zadłużenia i zasadniczej zmiany stosunków wprowadzających prawo, a rugujących bezprawie. I tę trudność szczęśliwie ominięto. Listę cywilną ustanowiono na 1,200,000 franków rocznie dla beja i połowę tej sumy dla następcy tronu, zaledwie jednak 1/10 część otrzymuje władca do rąk,

a 9/10 idzie na amortyzację długów, skupionych od żydów przez rząd francuski, stający się jedynym kredytorem zrujnowanego królika. Ażeby jednak nie powstały nowe długi żydowskie, któreby nigdy nie dały oczyścić zaszarganej hipoteki beja, został on wzięty w formalną kuratelę za pomocą specjalnego intendenta francuza, mianowanego przez rząd, a rozporządzającego najdrobniejszymi sprawami Jego Wysokości. Za lat jakie 10 władca Tunisu oczyści się z długów i intendenta francuskiego nie będzie potrzebował, ale wątpić wolno, czy potem, korzystając z wolności, nie pozna się z powrotem z żydkami i nie powróci do stanu dawnego.

Jak widzimy organizacja protektoratowa miała charakter jedynie doradczy i opiekuńczy, praktyka jednak pokazała, że przy tym systemie można zostać zupełnym panem kraju. Jego Wysokość Mohamed El Hadi podpisuje co mu każe Rada ministrów francuskich, a kaidowie i szejkwowie słuchają, co im znów każą robić kontrolerzy.

Krajem obecnie w najdrobniejszych szczegółach rządzą francuzi i rządzą bardzo dobrze, o czem świadczy wszystko, na co patrzemy.

Sieć dróg żelaznych pokrywa kraj nieomal do krańców pustyni, równe jak stół szosy jeszcze gęstszą siatką łączą nieomal niewielkie miasteczka, budują się wspaniałe porty, poczta i telegraf istnieje wszędzie, powstają nawet szkoły arabskie pod protektoratem francuzów, a miasta przybierają taką postać, o jakiej nawet nie marzyły. Słowem Europa idzie tutaj olbrzymimi krokami, a chwilami w otoczeniu europejskiem, w europejskich dzielnicach miast można zapomnieć, że się jest w Afryce wśród arabów.

I to wszystko dzieje się bez naruszenia praw narodowych, bez przemocy i gwałtu, a spokój najzupełniejszy do

tego stopnia panuje, że, jak się wyrażają malowniczo niektórzy arabowie, „dziewica mogłaby obecnie przejść z wiankiem na głowie przez kraj „cały“.

Na pytanie jednak czy ludność tubylcza jest ze zmiany zadowolona, trudno dać zupełnie pewną odpowiedź, bo, tak samo pytanie, jak i odpowiedź są drażliwe i mogą być nie-



Tunetania. — Pierwotny sposób ciągnięcia wiadra ze studni, zastępujący korbę.

szczere; arab nie mówi tego co myśli, a często mówi to czego nie myśli.

O ilem mógł wywnioskować z rozmów z arabami bogatymi i biednymi, przyszedłem do przekonania, że bogatym jest lepiej, a biednym pozornie gorzej. Dawniej bogaci nieśli cały ciężar utrzymania beja i opłat krajowych, bo, wskutek braku praw, najłatwiej było od nich grosz ściągnąć, czy to po dobru czy gwałtem, od biednego nic nie brano, bo wziąć nie było łatwo.

Dzisiaj wszystko uporządkowanem zostało, bogaty płaci dużo więcej niż biedny, ale jest pewny życia i mienia, za to biedny, dawniej zupełnie swobodny, musi obecnie płacić „pogłównie“ wynoszące 25 franków rocznie od osoby, stanowiącej jednostkę samodzielną, bez względu na to czy zapłacić może czy nie. Podatek ten jest niejako „prawem do życia“, a w razie niezapłacenia arab idzie do kozy.



Tunetania. — 3 osoby naczelne w Tunetanii: Prezydent Loubet, bej Tunisu i rezydent francuski p. Pichon.

Bezwątpienia pogłównie jest ciężkim podatkiem, szczególnie dotkliwym, że się płaci gotówką, sądzę jednak, że krajowiec obecnie, przy zmienionych warunkach jest w możności taki podatek zapłacić, a liczne korzyści cywilizacyjne jakie za to posiada opłacają go sownie.

Tak czy inaczej doła arabów w Tunetanii nie jest już do pozadzroszczenia, bo otrzymują wprawdzie wszystkie zdobycze cywilizacji, a nawet sprawiedliwość, ale z rąk cudzoziemców, którzy popierani przez swój rząd, a zresztą nawet

siłą żywiołową, zajmują terytorya przez arabów opuszczone, korzystają z ich lenistwa, fanatyzmu i mniejszego uzdolnienia do pracy.

Jednym słowem, krajowiec w Tunetanii, bez gwałtu, bez żadnego bezprawia, jest i będzie coraz silniej wypierany i, prawdopodobnie, schodząc po drabinie społecznej coraz niżej ustąpi z czasem z tych ziem, które w całości obejmie ludność europejska.

Tunis d. 5 listopada 1903.

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
I. Marsylia. — Podróż morską. — Wybrzeże Afryki	1
II. Rys historyczno-geograficzny północno-zachodniej Afryki	6
III. Wjazd do Algeru. — Port. — Arabowie. — Maurowie. — Kabyle. — M'zabici. — Negrzy. — Żydzi i Francuzi	10
IV. Miasto Alger. — Przedmieście Mustafa. — Miasto arabskie. — Cywilizacya to żywiol. — Porównanie z nami.	17
V. „Jardin d'essais“. — Palmy. — Kauczuki. — Bambusy. — Kokosy. — Raj	22
VI. Okolice Algeru. — Zima południa. — Komitet dla zimowników. — Koleje do Sahary. — Apetyt Francyi	27
VII. Francuz jako kolonista. — Nowa Francya. — Księża brodac. — Czarna Matka Boska Afrykańska	32
VIII. Cywilizacya szła ku północy. — Wielki Rok.	36
IX. Nieco z meteorologii. — Piec Europy. — Zapasy dziatwy Bo-reasza	45
X. Maurowie. — Ich strój, mieszkanie i przyszłość.	52
XI. Kolonizacya wobec krajowców. — Trzy sposoby gdzieindziej praktykowane. — Jak chcą postępować Francuzi.	57
XII. Z okna wagonu kolei afrykańskiej. — Kraj pozornie bezludny. — Arabowie wiejscy. — Ich siedziby	63
XIII. Oran. — Bogactwo Algeryi. — Meduzy — Forteca hiszpańska wśród arabów	69
XIV. Port Marokka. — Tanger. — Harem paszy. — Przyszłość. — Krzyk muezzina	77

	<i>Str.</i>
XV. Prądy cieśniny Gibraltarskiej. — Słupy Herkulesa. — Dżebel Tarik czyli Gibraltar	83
XVI. Południowa Hiszpania. — Oliwki. — Warstwy ludów i państw. — Kalifat Kordowy. — Sławny meczet.	89
XVII. Wulkan Islamu. — Zjadacze skorpionów. — Taniec arabski. — Ich cywilizacya. — Wielki Rok od niej murzynów uwalnia.	97
XVIII. Arab i żyd. — Cechy semitów. — Fanatyzm i żywot pasyżny. — Czem są żydzi.	102
XIX. Żebractwo. — Madryt. — Muzea. — Walka kogutów	108
XX. Barcelona. — Miasto robotników. — Stan waluty hiszpańskiej. — Dźwiganie się przez przemysł. — Młodociany król.	115
XXI. Tunetania krajem kontrastów i wspomnień historycznych. — Rys historyczny aż do protektoratu francuskiego	124
XXII. Cztery strefy klimatyczne. — Akwadukty. — Pora deszczowa. — Susza. — Wodociągi.	131
XXIII. Ludność. — Miasto Tunis. — Dzielnica europejska. — Dzielnica arabska. — Strój.	138
XXIV. Hammam-Lif. — Kartagina. — Kopalnia pamiątek. — Cysterne. — „Ojcowie biali”. — Tryumf ducha na odwiecznych gruzach	145
XXV. Okolice Tunisu. — Szosa do Bardo. — Malownicze kontrasty	151
XXVI. Miasto święte arabów. — Meczet Sidi Okba. — Produkcye braci Aissaua	159
XXVII. Suza. — Droga w głąb kraju. — Stanowisko araba względem cywilizacyi	167
XXVIII. Rok 1881. — Protektorat francuski. — Bej Tunisu — Przyszłość krajowców	173



SPIS RYCIN.

	<i>Str.</i>
Marsylia. — Park miejski „Le Prado”	3
Alger. — Ulica nad portem i skwer	7
Alger. — Wnętrze meczetu „El-Kebir”. Posadzka i filary od dołu obwinięte i wyłożone matami.	11
Alger. — Port położony bezpośrednio pod bulwarem nadmorskim i łagodny zjazd doń prowadzący	15
Alger. — Widok miasta od strony portu wojennego z uwidocznieniem wysokich podmurowań arkadowych bulwaru nadbrzeżnego	18
Algerya. — Piękna kabyłka	20
Algerya. — Zamożny arab	24
Algerya. — M'zabita, mieszkaniec oaz, czasowo do miasta dla handlu przybyły	28
Algerya. — Spahis	37
Alger. — Żydówka	40
Alger. — Arabka na ulicy	41
Algerya. — Tuareg, mieszkaniec pustyni, przysłaniający usta czarnym woalem w celu ochrony przed ruchomymi piaskami	43
Szkic prądu Meksykańskiego w połączeniu z wiatrami europejskimi	46
Alger. — Ulica w dzielnicy arabskiej	50
Alger. — Ulica w dzielnicy arabskiej.	55
Alger. — Aleja kauczukowa w ogrodzie doświadczalnym (Jardin d'Essais).	59
Alger. — Aleja bambusowa w ogrodzie doświadczalnym	61
Mapka sieci kolei żelaznych w krajach Atlasu	65
Alger. — Jukki drzewiaste w ogrodzie doświadczalnym	70
Alger. — Pałac letni gubernatora w stylu maurytańskim.	72
Alger. — Wnętrze domu prywatnego bogatego araba.	75
Mapka cieśniny Gibraltarskiej.	84
Marokko. — Placyk „Cokko” największy w mieście Tangerze, na którym mieszczą się aż 4 poczty — ale cudzoziemskie	87
Marokko. — Widok Tangeru od strony morza	90

455882
/ 9770

Str.

Marokko. — Wejście do więzienia arabskiego w starożytnej upadającej fortecy w Tangerze. 92

Marokko. — Brama wjazdowa do Tangeru od strony łądu. 95

Marokko. — Handlarz wodą w Tangerze. 99

Gibraltar. — Skala, stanowiąca własność angielską — u podnóża jej miasto Gibraltar i port, równina na lewo stanowi już ziemię hiszpańską 103

Mapka Tunetanii 106

Tunetania. — Średniowieczny akwadukt hiszpański—obecnie w ruinie. 111

Tunetania. — Ruiny akwaduktu rzymskiego 113

Tunis. — Ulica z minaretem—w głębi meczet 119

Tunis. — Wnętrze jednej z galerii kupieckiego bazaru zwanego „suki“ 125

Tunis. — Ulica w części arabskiej 127

Tunetania. — Zamożny arab 129

Tunis. — Zamożna arabka na ulicy 133

Tunis — Murzyn żebrak 136

Tunis. — Strój żydówek na ulicy — tusza uważa się za szczególną oznakę urody 142

Tunis. — Strój żydówki w domu 147

Tunis. — Świeżo zbudowany pałac sprawiedliwości francuskiej w stylu maurytańsko-secesyjnym. 149

Tunetania. — Krumirka karmiąca dziecko 152

Tunis. — Tancerka beduińska. 154

Tunis. — Wnętrze sali sprawiedliwości w pałacu beja 157

Tunetania. — Namioty beduinów. 160

Tunis. — Kalendarz ścienny turecki używany w bogatych domach arabskich, prawdopodobnie sprowadzany ze Stambułu . 162

Kartagina. — Katedra „Ojców białych“ zbudowana na odwiecznych gruzach 164

Kartagina. — Ślady starożytnego sławnego portu 165

Kartagina. — Ruiny cystern starożytnych, położonych na wzgórzu i zasilających niegdyś, za pomocą akwaduktów, całe miasto wodą. Pod rzymskimi sklepieniami gnieźdzą się arabowie 168

Tunetania. — Plac targowy w świętem mieście Kairwanie 170

Tunetania. — Wnętrze meczetu „Sidi-Okba“ w Kairwanie 174

Tunetania. — Brama wjazdową do Kairwanu 176

Tunetania. — Pierwotny sposób ciągnięcia wiadra ze studni, zastępujący korbę 178

Tunetania. — 3 osoby naczelne w Tunetanii: Prezydent Loubet, bej Tunisu i rezydent francuski p. Pichon. 179





39959

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI
E. WENDE i S-ka.
—
1905.

m

1890

